12 stron druku

Cena 15 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV

Kraków, dnia 26 stycznia 1947 r.

Nr 4 (113)

JAN REYCHMAN

ZIEMIA ODWIECZNEGO SPORU

NA SZOSIE POD ÜLLŐ

Z początkiem 1945 r., w zajętej już przez Czerwoną Armię, na pół spalonej i zrujnowanej wsi Üllő pod Budapesztem, na gościńcu, przez który przewalały się dniem i nocą wszelkiego rodzaju transporty wojskowe na oblegany Budapeszt, skąd dochodziło głuche dudnienie dział, zatrzymał się dziwny transport: żołnierze mieli wysokie furażerki z ostro sterczącym szpicem, oficerowie złote galony i szerokie denka u czapek.

Znaliśmy te mundury, bo jesienią 1944, dla wzmocnienia słabnącego już w narodzie ducha wojennego, marionetkowy rząd węgierski Szalassy'ego zorganizował przez kraj przemarsz „jeńców rumuńskich", wziętych niby do niewoli w zwycięskich kontratakach pod Szolnokiem. Było ich kilkuset, wymizerowanych i wycieńczonych; maszerowali ciągle w kółko, aby się wydało, że jest ich więcej; nie wzięto ich wcale do niewoli w czasie kontrataku pod Szolnokiem — bo było w nim tyle prawdy, co w naszym zwycięskim marszu na Prusy Wschodnie we wrześniu 1939 roku. Wśród Węgrów nie wywoływali wojennego nastroju, raczej litość, ale propaganda skorzystała z okazji, aby trąbić o „tysiącach jeńców"...

Teraz ci sami Rumuni szli gościńcem przez Üllő na Budapeszt jako sprzymierzeńcy Czerwonej Armii, jako zwycięzcy. Tym samym gościńcem, którym maszerowali już przed 25 laty. Wtedy, aby obalić rząd Beli Kuhna i ustanowić „biały" régime Horthy'ego — dziś, aby pomóc rozpędzić powstały z tych samych elementów kontrrewolucji rząd Szalassy'ego i ustanowić rząd demokratyczny z „węgierskim Badoglio" — generałem Miklosem i z wodzem komunistów węgierskich Rakosim...

Gościniec od Cisy ku Budapesztowi — to pole, na którym się rozegrały wszystkie wydarzenia Węgier ostatniego stulecia. Tędy zimą 1848-1849 cofała się pod naporem wysługującego się wiedeńskiej reakcji Jelačića armia węgierska i tędy w tryumfie wracała wiosną 1849 do odzyskanej stolicy. Tam, pod Szolnokiem, gdzie przed 70 laty w szeregach rewolucyjnej armii węgierskiej Teodor Tomasz Jeż przeszedł swój chrzest bojowy — latem 1919, pod naporem wspomaganych przez „Zachód" Rumunów, rozstrzygnął się los „drugiej republiki" węgierskiej (za pierwszą uważa się r. 1849 po detronizacji Habsburgów). Tym gościńcem cofała się rozbita Czerwona Armia Węgier, tędy wkraczali Rumuni, dumni, że są jedynym krajem alianckim, który wkroczył do stolicy pobitego wroga... A dziś, ci sami Rumuni — może byli wśród nich nawet ci sami żołnierze, ci sami dowódcy? — w jakże innych okolicznościach, w jakże innej konfiguracji, w innym celu maszerowali znów tym samym szlakiem...

Tragizm stosunków węgiersko-rumuńskich, u których podstaw tkwi sprawa Siedmiogrodu, ale których istota jest znacznie głębsza, stanął mi przed oczami w ten zimowy ranek na szosie üllőwskiej, w styczniu 1945 roku. Było to już po zdobyciu części Budapesztu przez Armię Czerwoną. Mieszkańcy uwolnionych części stolicy Węgier zdążali na wschód. Byli to ludzie wychudli wygłodzeni, brudni, po dwu miesiącach pobytu w piwnicach, ze śladami strachu, głodu i cierpień na twarzach. Każdy był owinięty w jakieś dziwne szmaty, często w parę płaszczy jesiennych, pochodzących z porozbijanych sklepów. Ciągnąc za sobą na prędce sklecone saneczki z resztkami uratowanego mienia, długim wężem brnęli przez ośnieżone pola, wypytując, jak można jechać na wschód.

Na wschód... Wszyscy zdążali ku wymarzonemu wschodowi, ziemi obiecanej dla wymęczonych mieszkańców stolicy Węgier, zimą 1944-1945. Byli wśród nich mieszkańcy wschodnich prowincji Węgier, którzy jesienią 1944 uszli przed frontem do Budapesztu, a obecnie wracali do domowych pieleszy, przeklinając tych, co ich do tej krajoznawczej wędrówki namówili. Ale byli i budapeszteńczycy, którzy chcieli się obecnie wydostać z wygłodzonego, spalonego Budapesztu, aby się „odżywić" trochę, odetchnąć po koszmarnych nocach oblężonego miasta, po grozie wojny i terrorze „nyilarzów". Wśród pstrego tłumu kręcili się, przybyli ze Wschodu i krążący między Aradem a Budapesztem, młodzi Żydzi węgierscy, byli „munkaszolgalatos" z morderczego obozu pracy w Bor, skąd wyswobodzili ich partyzanci Tita. Nosili dumnie jugosłowiańskie furażerki z gwiazdą titowską i literą „D" (Deportowani), opowiadali o dobrym życiu wśród partyzantów i o stosunkach na wschodnich Węgrzech. Wojna tam przeszła szybko, żywności w bród, w restauracji można zjeść „pörkölt" przy orkiestrze cygańskiej, wychodzą dzienniki demokratyczne i tworzy się rząd generała Miklosa.

I my płynęliśmy na wschód z tą całą falą. Na małej stacyjce Monor znalazł się jakiś powracający na wschód pusty transport. Wagony były przestrzelone na wylot, wiatr hulał silniej niż na dworze. Transport zatrzymywał się co parę kilometrów na kilka godzin, ale cóż to wszystko znaczyło wobec radości, że jechaliśmy na wschód, że oddalaliśmy się od Budapesztu, że przez noc przejechaliśmy aż 30 km... Rano byliśmy w Ceglédzie, wieczorem w Szolnoku. Miasto było zniszczone, na dworcu sterczała piramida z pogruchotanych przez amerykańskie bombowce parowozów, ale w wymarłym mieście był targ i kobiety z okolicznych wsi sprzedawały po śmiesznie niskich cenach białe bułki i masło, jajka i kurczęta. Wojna przebiegła tu szybko wczesną jesienią 1944 roku. Niemcy nie mieli czasu ani wszystkiego wywieźć, ani zniszczyć; większych działań obronnych tu nie prowadzili, wycofując się szybko na pozycje „Małgorzata", którymi w szyfrze oznaczona była linia: Jezioro Balaton — góry Bakony — góry Vertes — Dunaj — rzeka Ipoly i góry Matra, gdzie usiłowali stawiać opór do marca 1945.

Z Szolnoku, osobowym, choć z towarowych wagonów się składającym pociągiem, już z biletem, zdążaliśmy do granicy rumuńskiej. Nie wiedzieliśmy nawet, kiedyśmy ją minęli. Była wojna i wszystkie granice były otwarte. (Granice były wewnątrz krajów i to takie, do których przekraczania nie uprawniał żaden paszport, za to rzeczywiste granice stały otworem...). W rozbitym wagonie jakiś czerwonoarmista opowiadał o żonie z Odessy, chłopcy w jugosłowiańskich furażerkach czegoś się

STANISŁAW JERZY LEC

WIERSZE WIEDEŃSKIE

REKONSTRUKCJA TUMU ŚW. SZCZEPANA

Nad tumem stalowy szkielet,
już szybki lutują w ołów.
Tu dzieckiem widziałem przelot
żywych, szumiących aniołów.

Wyżłobione falami ognia
mury głaszczę chropawe.
Robotnicy poszli na obiad.
Stoję pośrodku nawy.

Słońce wyżarło cienie,
budulec dziecięcej wiary.
Firma co kładzie sklepienie
ma potężniejsze dźwigary.

Podnoszą w biblijnych paszczach
dachu stalowe trójkąty.
Tak się wspaniale upraszcza
w gmachu wiary remonty.

Gdzie wiary mej świeczka biała,
owita mirtem zielonym?
Palce chłopcu spalała,
knot zwęglił a na amen.

Ziąb ciszy wieje od chóru
pod wież koronkową sukienkę.
Każda falbanka muru
zna we mnie wiedeńską piosenkę.

Pożar przedmuchał wieżę,
w wielki gotycki żużel.
Tutaj szeptałem: wierzę.
Kwitły kamienne róże.

Z obiadu powrócił monter,
zniknął w kamiennym tłumie.
Gdzieś z niewidzialnych pięter
gwiżdżą szlagier o tumie.

Z Galicji i Lodomerii,
z Bośni i Hercegowiny.
Wpadnę do mojej fryzjerni,
łeb gazetami owinę.

Emeryci w wyleniałych kołach
w cesarskich bokobrodach
szepcą o wiatrach-sierotach,
którym odjęło oddech.

Emeryci w przeźroczystych raglanach
ocierają węgły.
W winem skwaśniałych bramach
pachna Austro-Węgry.

Cesarstwa największy orzeł
nad ministerstwem wojennym.
Pod skrzydła się wiatr podłożył.
Skąd zawarczą bębny?

Przez sal wypalonych półmrok
tłoczy się wiatrów reszta.
Suszy bieliznę na sznurach
służbie, co w gmachu mieszka.

* *
*

NAD KANAŁEM DUNAJU

Nad kanałem Dunaju — wiatrów strefa.
Łańcuchami ruiny.
Na wybrzeżu Franciszka Józefa
cegła wraca do gliny.

W rdzawych lasach z żelaza
krwawią się wiatry.
I piosenka zamarza
w katarynce ostatniej.

Gazeciarkom na moście
z rąk już pęki marchwi.
Widnokrąg otwarty na oścież
wiatry bezdomne monarchii.

Tędy gdzie aliancki odwach —
Wieża Babel i tramwaj na cmentarz.
Jak na kołach ratunkowych
wiszą ludzie na żałobnych wieńcach.

Umieram tu we Wiedniu od pokoleń.
Ojcem, dziadem, pradziadem.
„Fall ich am Weichselstrand, sterb ich in Polen?"
Pamiętasz stukonną balladę?

Jest szybszy liryczny moment
od tramwajów wiedeńskich.
Dzwoni oko o każdy monument
pięć tonów dziecięcej piosenki.

Siedzą — stoją poeci, muzycy
pieszo na swoich cokołach.
Cwałuje brązową konnicą
cały tabun posągów dokoła.

Ubrali w rokoko Pana Boga,
tłustym aniołkom rozkosz.
Dyszy pacierz w baroku — głodna,
słunoga, niewidząca rozpacz.

Nie pojadę dzisiaj do ojca.
(Cmentarz Centralny, pierwsza brama).
Każda droga tu do ciebie wiodąca,
i cmentarna i ciągle ta sama.

kłócili po węgiersku, z sąsiedniego wagonu dochodził śpiew „Katiuszy"; na dworze zrobiła się pogoda, powiał ciepły wiatr, jakby przedsmak wiosny — otwierał się przed nami nowy świat. Wszystkim było wesoło, wszystkich ogarnęła jakaś błogość, gdy uświadomili sobie, że tam, na Węgrzech, pozostawili wojnę i głód. Tak przejechaliśmy granicę Rumunii, ziemi obiecanej dla Węgrów zimą 1944/45 roku. Czy to nie ironia losu? I znów pomyślałem o dziwnym tragizmie stosunków rumuńsko-węgierskich.

Wieczorem byliśmy w Aradzie.

WROTA SIEDMIOGRODU

Dziwny wygląd przedstawiał Arád zimą 1945. Był to wówczas centralny punkt między frontem węgierskim a bazami w Rumunii, południowej Rosji i na Bałkanach. Przelewały sę tu tłumy we wszystkich kierunkach: oficerowie sowieccy i lotnicy amerykańscy, żołnierze czescy i partyzanci jugosłowiańscy; rozmaitość mundurów, języków, odznak — nowy dla nas świat. Arád był centrum uratowanych Żydów z Węgier, widziało się i ortodoksów w długich kapotach i czapach lisich.

Po miesiącach, jakie przeżyliśmy niedawno w okupowanych przez Niemców Węgrzech, życie w Aradzie było jak przebudzenie się z koszmarnego snu. Kina wyświetlające filmy amerykańskie i radzieckie, gazety polemizujące na tematy polityczne (był to w Rumunii okres rozgrywki z rządem generała Radescu), możność depeszowania za granicę, a obok tego sklepy pełne towaru, wystawy sklepowe, stosy żywności na targu, ciastka w cukierni, domy nie zniszczone, pensjonarki spieszące na ósmą do szkoły (na Węgrzech o szkołach już od dawna nie było mowy) — od tego wszystkiego aż się nam kręciło w głowie.

Dodać jeszcze trzeba charakterystyczną wielojęzyczność i wielobarwność Aradu, gdzie duch Wschodu miesza się z Zachodem, gdzie cerkiew prawosławna sąsiaduje z ratuszem w stylu wiedeńskim, gdzie na rynku mieszczanin w czarnej kamizelce z fajką w zębach przypomina nam Tyrol, a „tzaran" w owczej skórze i łapciach wywołuje reminiscencje gór Rodopskich.

Do 1918 r. Arád należał do Węgier, po czym przyznano go Rumunii, i pozostał przy niej po dziś dzień. Leży w tzw. południowym Siedmiogrodzie, który w latach 1940—1944 nie był okupowany przez Węgrów. Ale faktycznie to Arád w ogóle w Siedmiogrodzie nie leży. (W nomenklaturze politycznej zwykło się części Węgier, przypadłe Rumunii na mocy traktatu w Trianon, nazywać ogólnie Siedmiogrodem).

Arád leży poza Siedmiogrodem w jego granicach z XIX wieku. Samo miasto jest raczej węgierskie, ale okolica jest już inna: są tu Rumuni, i Niemcy i Serbowie, ba, nawet i Słowacy. Dziwna mieszanina, przedsmak Bałkanów, echo sąsiedniego Banatu, który jest najdziwniejszym mikrokosmosem narodów osiedlających się tu po wojnach tureckich w XVIII wieku. Osiedlali się tu wszyscy, Rusini spod Karpat, Hiszpanie i Lotaryńczycy, o których pobycie mówią po dziś dzień nazwy... Ale miasto wciąż jeszcze nosi piętno kultury węgierskiej i Węgrzy zawsze śnili sen o Aradzie. Jakże się im dziwić, skoro to miasto musi być drogie ich sercu. Tu przecież 6 października 1849 roku reakcja austriacka wykonała wyrok śmierci na kilkunastu generałach węgierskich, winnych „zbuntowania się przeciw prawowitej władzy cesarza", to jest udziału w rewolucji 1848 roku... Arádi vértanúk — męczennicy aradzcy... Imiona ich ze czcią wymawiają wszyscy Węgrzy, przekazując je z pokolenia na pokolenie, a dzień 6 października zawsze obchodzono uroczyście, nawet podczas niedawnej wojny, aż do okupacji Węgier przez Niemcy w 1944 roku. — Spełnił się wreszcie sen pokoleń. Węgrzy wrócili do Aradu, ale w jakże smutnych okolicznościach. Do grodu upamiętnionego męczeńską śmiercią generałów w obronie rewolucji przeciw reakcji germańskiej — wrócili jako sprzymierzeńcy Hitlera. Było to we wrześniu 1944 roku. Zanim, po nagłym przejściu Rumunii do obozu sprzymierzonych, armie marszałków Malinowskiego i Tołbuchina, operujące w tym rejonie, zdołały przerzucić wszystkie siły poprzez Rumunię, Niemcy i Węgrzy zaczęli operacje przeciw Rumunii. Wówczas to — 19 września 1944 roku — Węgrzy weszli na parę dni do Aradu, usiłując narzucić kosmopolitycznemu miastu faszystowskie reguły i norymberskie ustawy, a potem wkroczyła do miasta Armia Czerwona.

Idąc wzdłuż bystrego Maroszu, o którego rwącej wodzie mówią słowa każdego prawie czardasza węgierskiego czy pieśni ludowej, w stronę parku miejskiego i twierdzy, gdzie w r. 1848 formował się Legion Polski rewolucji węgierskiej — (tam T. T. Jeż po raz pierwszy zetknął się z zagadnieniem Serbów i innych Słowian na Węgrzech, tam obudziło się w nim zainteresowanie, którego wyrazem był „Sándor Kovács") — dojrzeć można w pogodne dni ku Wschodowi sine pasemko na horyzoncie. To Karpaty, zakończenie potężnego łuku gigantycznych kleszczy, obejmujących swymi ramionami kotlinę naddunajską i decydujących o losach zamieszkujących ją ludów. Właśnie we wschodnim zagięciu tego łuku, w tych widnych już z Aradu górach, leży Siedmiogród.

KALEJDOSKOP LUDÓW I POJĘĆ

Czy mogłem kiedy przypuścić, że w podobnych okolicznościach, bynajmniej nie usposabiających do historiozoficznych refleksyj, poznam kiedyś Siedmiogród, ów węzeł gordyjski zagadnienia rumuńsko-węgierskiego, kalejdoskop ludów, języków, wyznań i pojęć? Z Aradu jechaliśmy wtedy kursującym tylko parę razy w tygodniu, nie opalanym, obdartym i pełnym różnorodnej publiczności pociągiem w kierunku Bukaresztu. Krajobraz z nizinnego przeobraził się rychło w górzysty, droga nasza wiodła przez doliny, czasem bardziej wcięte, to znów szerokie i przestronne. Na ich zboczach widać było wsie; jedne zbite, z murowanymi domkami jak na Spiszu, inne z drewnianymi, rozrzuconymi po stokach górskich osiedlami, przypominającymi wsie podhalańskie. Na małych stacyjkach konduktorzy wykrzykiwali ich nazwy, które budziły czasem jakieś dalekie skojarzenia, coś jakby echo wspomnień. Na stacjach słyszało się rozmaitą mowę; twarda mowa węgierska mieszała się ze śpiewnym, przeciągłym językiem rumuńskim, czarne ubrania i buty z cholewami mieszały się z baranimi czapami i kierpcami.

W pół roku później znów byłem w Siedmiogrodzie, tym razem jechaliśmy transportem repatriacyjnym do Polski. Nie była to już zima, lecz koniec pięknego lata. Jechaliśmy wygodnie; wagony towarowe przerobiliśmy własnym przemysłem na „sleepingi". Z dachu wagonu, na którym — aby podziwiać piękny widok — zbierała się elita transportu, otwierała się panorama na coraz to nowe pasma górskie. Nie była to już jazda w nieznane, jechaliśmy z celem, który każdy długo rozważył. Było już po wojnie, zamiast transportów wojennych widzieliśmy tylko transporty powrotne, żołnierzy wracających do domu, jeńców zwolnionych z obozów. Na małej stacyjce Medgyes można było dostać w bufecie „czorbę" (z tureckiego, zupę) z kawałkami mięsa, a na węzłowej stacji Tövis, gdzie rozwidlały się szlaki ku północy i zachodowi, napotkaliśmy wracający do Konstancy próżny transport UNRRA, eskortowany przez naszych żołnierzy. Nalepki ekspedycyjne na wagonach miały dziwne, dla nas niezrozumiałe nazwy jakichś miast nad Odrą... Ta polska nalepka kolejowa w dalekiej rumuńskiej miejscowości była dla nas pierwszym dowodem rodzącej się państwowości polskiej na Ziemiach Odzyskanych. A więc to jest rzeczywistość? Dotychczas było to dla nas dalekie i nierealne...

Cluj i Oradea, Torda i Sighişoara, Mediaş i Tövis... Nazwy te niewiele nam mówiły. Ale w brzmieniu węgierskim Kolozsvár i Nagyvarád, Tórda i Segesvár, Medgyes i Tövis głęboko się wryły w serce każdego Węgra. Siedmiogród był nie tylko przez tysiąc lat krainą Węgier, ale jego dzieje tworzą organiczną część dziejów węgierskich.

Od upadku Węgier po Mohaczu (1526), gdy jedną częścią kraju rządził turecki pasza z Budy a drugą niemiecki gubernator z Preszburga, Siedmiogród przez półtora wieku był ostoją węgierskiej państwowości, jedynym ośrodkiem, gdzie się skupiały wysiłki zdążające do zjednoczenia Węgier i gdzie się mogła rozwijać węgierska myśl polityczna. Każdy kamień mówi tu o przeszłości Węgier, przeszłości tragicznej ale i bohaterskiej, którą tak trudno porównywać ze słabym, zaprzedanym Niemcom pokoleniem Kallay'ów i Horthych. Wszystkie wielkie nazwiska w historii Węgier tak czy-inaczej związane są z ziemią siedmiogrodzką: Święty Ładysław i Stefan Batory, Bethlen i Maciej Korwin, Hunyády i Martinuzzi, Zapolya i Thököli, Bem i Petöfi.

TRZY NACJE

Ale Siedmiogród, który był sercem Węgier, Siedmiogród tak zrośnięty z ich historią, był w owych dawnych latach dziwnym tworem narodowościowym. Od wędrówek ludów przewaliły się tu różne narody: byli tu Dakowie, Cymerowie, Scytowie, Celtowie, Rzymianie, Hunowie, Goci, Gepidzi, Awarzy, Bułgarzy, Pieczyngowie, Uzowie, Kumani. W średniowieczu osiedlili się licznie Niemcy, tzw. Sasi. Ci Sasi siedmiogrodzcy pozostali najdalej wysuniętą forpocztą wojującej niemczyzny na Wschodzie. Po rozbiorze Węgier między Turcję a cesarza niemieckiego w XVI wieku, Habsburgowie nigdy się nie wyrzekli myśli o zawładnięciu wszystkimi ziemiami węgierskimi wraz z Siedmiogrodem, a Sasi siedmiogrodzcy wierni byli Habsburgom w całym przebiegu historycznym ich walk z narodem węgierskim.

Siedmiogród był domem trzech uprzywilejowanych nacyj: saskiej, węgierskiej i... — myślicie, że rumuńskiej? Nie — szeklerskiej. W średniowieczu podział narodowy nie był językowy czy etniczny, raczej klasowy, według przywilejów. Węgrzy to była szlachta, Niemcy — mieszczanie, Szeklerzy — wolna ludność pilnująca pogranicza. Szeklerzy są dziś pod względem językowym Węgrami, ale sprawa ich pochodzenia nie jest jeszcze wyjaśniona — tworzą oni grupę etnicznie odrębną.

Faktem jest, że w tej mozaice nie byli wówczas Rumuni w Siedmiogrodzie czynnikiem historycznym, choć niewątpliwie tam żyli. Kiedy się tu wzięli, skąd przyszli? To zagadka, tak samo jak zagadką jest sprawa genezy narodu rumuńskiego. Trafnie pisał T. T. Jeż: „Istniał fakt nagi: naród pozostający pod władzą wojewodów i wylewający się na ziemię, którą uważały za własność swoją z jednej strony Polska, Ruś i Litwa, z drugiej Węgry. Punktem, z którego ów naród się wylewał, były góry... Naród zeszedł z gór, posuwał się i szerzył z biegiem rzeki, zajmując ziemie, na których żadna wyraźna tamy mu nie stawiała linia demarkacyjna... W wieku piętnastym jeszcze przeważnie gór się trzymał..."

W późnym średniowieczu pojawiają się w dokumentach historycznych wzmianki o „vlachii pastores". Rumuni byli ludem pasterskim, potem i rolniczym, a taki lud nie tworzył historii. Pracował na obcego pana, cierpiał, ulegał. A dzieje tworzyli szlachcic węgierski, wolny Szekler i Sas. Chłop, biedny „tzaran" znosił cierpliwie swoją dolę, ale do czasu. W r. 1784 wybuchło pod wodzą trzech chłopów Hory, Kloski i Križana chłopskie powstanie. Miało ono swój aspekt klasowy, walki chłopa z dworem, ale miało i aspekt narodowościowy. Chłop był Rumunem. Dwór był węgierski. Imiona Hory, Kloski i Križana czczą Rumuni do dziś dnia, a jedna z dywizyj, utworzonych podczas minionej wojny przez Rumunów przy boku Czerwonej Armii, nosi właśnie nazwę dywizji im. Hory, Kloski i Križana.

Równocześnie skromny ksiądz grecko-katolicki, wychowanek rzymski, Klein (Micu) wysunął po raz pierwszy żądanie, aby obok tamtych trzech nacyj dopuszczono do głosu i Rumunów. Z tą chwilą Rumuni występują już na widownię i z niej nie zejdą. W miarę rozwoju uświadomienia społecznego i narodowego rola ich staje się coraz większa. Sasi, Węgrzy — schodzą powoli na dalszy plan; dotychczas odsuwany i pogardzany, przez setki lat milczący, „wielki niemowa", „brudny Wołoch" ma przewagę ilościową i za twardą pracę czarnych swych rąk żąda równouprawnienia — a potem władzy. Dochodzi teraz do konfliktu rumuńsko-węgierskiego, sporu rumuńskiej wsi z węgierskim dworem, węgierską administracją, madziaryzującym się mieszczaństwem.

TRAGICZNY KONFLIKT

Gdy w r. 1848 Węgrzy wystąpili do walki o wolność przeciw reakcji wiedeńskiej i imperializmowi niemieckiemu Habsburgów, ujrzeli po raz pierwszy w górach Siedmiogrodu górskie oddziały legendarnego Avrama Jancu. Węgrzy walczący o wolność ujrzeli naprzeciw siebie Rumunów również przekonanych, że walczą o wolność. Za Jankiem stała bezsprzecznie kamaryla wiedeńska, bunt jego podsycała miejscowa biurokracja niemiecka, ale ruch ten nie miałby podstaw, gdyby nie podsycała go wezbrana od lat tysiąca gorycz krzywd i poniewierki, gdyby nie ożywiały go takie same ideały wolnościowe, o jakie walczyły wtedy wszystkie ludy Europy. Konflikt dwóch pojęć wolności ujawnił się w całej okazałości — tak, jak do dziś dnia istnieje konflikt dwóch pojęć demokracji. Węgrzy walczyli o swoją wolność narodową przeciw (niemieckiemu) cesarzowi z Wiednia, o przywileje naruszone przez kamarylę dworską — ich wrogiem był Wiedeń, cesarz, Metternich. Rumuni walczyli o swoją wolność osobistą, o wyzwolenie z niewoli, o prawa ludzkie. Ich wrogiem był pan („úr"), dwór, ziemianin, żupan węgierski — a cesarz Wiednia mógłby w tej walce być tylko jego sprzymierzeńcem.

Nieliczni zdawali sobie sprawę, że, aby powstanie było skuteczne, musi być powszechne, że wolność jest niepodzielna, że nie osiągnie się jej w przymierzu z reakcją i absolutyzmem cesarskim, ale tylko w ramach ogólnego przeobrażenia ustrojowego.

Ani po jednej, ani po drugiej stronie nie było tego zrozumienia. Oba obozy splamiły się okrucieństwami. Nienawiść wzajemna weszła w krew.

Nienawiść? Tej nie czuło się w transporcie, który zdążał ku granicy Rumunii w ów zimowy dzień 1945 roku... Ale to może wspólna niedola zbliża ludzi, goi rany, zaciera wspomnienia... Bo Węgrzy pogardzali dotychczas „bides Olàhok" (śmierdzącymi Wołochami). Ci zaś organizowali się, uświadamiali, tworzyli kooperatywy, dbali o rozwój życia kulturalnego, utrzymywali łączność z rodakami zza gór, z „regatem". Powstawała nowa inteligencja z nowym poglądem na świat. Węgrzy uważali się dotychczas za ostatni bastion kultury rzymsko-łacińskiej, kres Europy, przedmurze chrześcijaństwa — i gardzili „cygańskim narodem", ciemnymi Wołochami, a inteligencja rumuńska zaczynała nasiąkać przekonaniem o swym rzymskim pochodzeniu, o swej łacińskiej cywilizacji, przypominała sobie, jak to Michał Waleczny w XVI wieku zjednoczył wszystkie ziemie rumuńskie z Siedmiogrodem i bronił tej ziemi przeciw Turkom. Teraz Rumuni zaczęli pogardzać Węgrami i uważać ich za przybłędów z Azji, za potomków Hunów, za barbarzyńców ugrofińskich, „przeklętych Mongołów". Rosły dwa światy we wzajemnej nienawiści.

Traktatem w Trianon (1920) Rumunia uzyskuje Siedmiogród. Węgrzy uciekają teraz do „małych" Węgier i marzą o rewanżu. W r. 1940 nadarza się okazja: na mocy werdyktu wiedeńskiego Ciano—Ribbentrop Węgry odbierają Rumunii pół Siedmiogrodu (drugą połowę zostawili Niemcy celowo przy Rumunii). Nadchodzi wreszcie rok 1944. Rumunia na mocy zawieszenia broni ma obiecany północny Siedmiogród, unieważnienie decyzji wiedeńskiej.

Siedmiogród był zawsze żywym ośrodkiem demokratycznej myśli węgierskiej. Silne były tu tradycje 1848 roku. Nawet w latach, gdy szalał faszyzm węgierski, odzywały się tu głosy za porozumieniem wszystkich narodowości. W r. 1943 tworzył się tajny „front ludowy". Oddziały zbrojne tego frontu walnie się przyczyniły do oswobodzenia Siedmiogrodu, zaczęły też zaraz tworzyć swe organy. Potem dopiero przyszła administracja rumuńska. Ale 14 listopada 1944 dowództwo Armii Czerwonej zawiesiło działalność administracji rumuńskiej w Siedmiogrodzie północnym (to jest zdobytym na Węgrzech). Nastał czas dziwnego kondominium. Rządziły miejscowe władze, tu rumuńskie, tam węgierskie.

6 marca skończyło się to interregnum. Siedmiogród północny oddany został administracji rumuńskiej. Ale tymczasem w Bukareszcie rząd generała Radescu ustąpił miejsca rządowi Piotra Grozy. Decyzją paryską z lata 1946 stan ten uznały wielkie mocarstwa.

Nad Dunajem, po wsiach węgierskich, które dostały się znów Czechosłowacji, Węgrzy żyją wyjęci spod praw, w Siedmiogrodzie korzystają teraz z pełnych praw. W Kolozsvarze ma się wrażenie, że jest się w węgierskim mieście. Obok uniwersytetu rumuńskiego jest uniwersytet węgierski. Są węgierscy posłowie do parlamentu. Jest minister Lukas w rządzie. Zmartwychwstaje duch Kossutha i Balcescu. Urzeczywistniają się ideały nie osiągnięte w 1849 roku.

PERSPEKTYWY

Czy wszyscy Węgrzy są zadowoleni? Bezsprzecznie nie. Nie można tak szybko zapomnieć o czymś, co tak wrosło w serce. W lecie 1946 r. wnieśli Węgrzy projekt przywrócenia im tylko drobnego skrawka granicznego, ale... z miastami Arád, Nagy-Szalonta, Nagyvarád. Marzą się im jeszcze koncepcje wspólnego kantonu. Towarzystwo imienia Kossutha pod przewodnictwem dawnego ministra w rządzie ludowym 1918 roku Barthy (który obecnie znów — po 25 latach — został ministrem w „trzeciej" republice węgierskiej) wzywało do utworzenia odrębnego Siedmiogrodu. Z drugorzędnych tygodników angielskich wyłowić można mętne koncepcje jakiegoś niepodległego państewka siedmiogrodzkiego. Węgrzy wciąż jeszcze myślą, że wrócą do Aradu, do Kolozsvaru, do Nagyvaradu i Marosvasarhely. Czy nadzieje te mogą się kiedyś ziścić? Czy można przekreślić żelazne prawa rozwoju? Co znaczą nazwy historyczne, wspaniała tradycja, powoływanie się na dawne dzieje, gdy dziś decydują zupełnie inne czynniki, gdy węgierskie miasta są wyspami w morzu wsi rumuńskich, gdy ludność rumuńska ma bezsprzecznie przewagę ilościową w kraju i nie jest już ciemnym motłochem wołoskim, ale świadomą swych praw, zorganizowaną społecznością?

Nie zapominajmy, że przez ostatnie dziesiątki lat Siedmiogród, który kiedyś był historią Węgier, stał się częścią nowszych dziejów Rumunii. Stąd pochodziła najbardziej uświadomiona klasa polityków rumuńskich, stąd pochodzi „rumuński Witos" Juliusz Maniu, i Piotr Groza, i zeszłoroczny minister manistowski w rządzie Matzegeanu; tutaj w Siedmiogrodzie, w Alba-Julii (Guylafehervar) w r. 1928 po raz pierwszy dowiodło swej potęgi chłopstwo rumuńskie marszem na Bukareszt. Tego wykreślić nie można. Kto to pierwszy zrozumie — ten zdobędzie klucz do szczęśliwej przyszłości swego kraju.

Jan Reychman

CELINA BOBIŃSKA

A JEDNAK — HISTORIĘ TRZEBA PRZEWIETRZAĆ

W odpowiedzi Marii Dąbrowskiej

W 22 numerze „Tygodnia“ w artykule „O przewietrzaniu historii“ Maria Dąbrowska występuje ostro przeciwko „nowym koniunkturalnym zakłamaniom historycznym“. Piękny ten artykuł, który może być wzorem prozy publicystycznej, zasługuje, zdaje mi się, na stosunek poważniejszy niż ten, który ujawnił w przeglądzie prasy „Kuźnicy“ ph. Mętnie zbagatelizował on wysunięte przez Marię Dąbrowską problemy.

Artykuł Marii Dąbrowskiej zasługuje na uwagę nie tylko za względu na wybitną osobę autorki i nie tylko dla walorów literackich samego artykułu, ale i dlatego, że śmiało i szczerze porusza jeden z najbardziej drastycznych problemów ideologicznych, że odsłania piętę Achillesową naszej inteligencji, jaką jest „sprawa wschodnia“. Myśli sprecyzowane w tym artykule odzwierciedlają szeroko rozpowszechniony kompleks poglądów, nieodłączny od tak samo rozpowszechnionej reakcji uczuciowej.

Toteż wbrew pewnemu zakłopotaniu, w jakie wprowadza osoba autorki, chcę jednak wystąpić przeciw paru poruszonym przez Marię Dąbrowską kwestiom. Autorka twierdzi, że „od półtora roku mniej więcej utarł się w pisaniu i mówieniu o tzw. ziemiach wschodnich pewien uproszczony schemat. Powiada on, że wypierani przez Niemców zrezygnowaliśmy pod koniec Epoki Piastowskiej z utrzymania się na zachodzie, natomiast rozwinęliśmy niesprawiedliwą agresję na wschód. W wyniku tej agresji owładnęliśmy wielkim obszarem o ludności niepolskiej, wobec której stosowalismy politykę ciemięstwa“. Otóż Dąbrowska cały swój artykuł poświęca właściwie tej drugiej, wschodniej kwestii, gdyż uważa, że „dla pokrzepienia serc polskich po utracie Wilna i Lwowa nie potrzeba czynić z dawnej Polski agresora, najeźdźcy i ciemięzcy, gdyż tym wszystkim nie była, na co wystawiały jej świadectwo różne narody, aż do jej wrogów włącznie. Jak się więc rzeczy miały...“

A więc rzeczywiście, jak się rzeczy miały?

Nadszedł już czas, aby w dyskusji sprecyzować nasze stanowisko wobec wielu kwestii historycznych.

To, jak ocenimy naszą politykę wschodnią w ciągu długich wieków, nie jest bez znaczenia dla rozwoju nauki historii i dla świadomości narodu.

Niezależnie od naszego subiektywnego stosunku do odbywających się w Polsce przemian, przemiany te się odbywają i mają charakter rewolucyjny. Rewolucyjny charakter rozwoju Polski w dobie powojennej polega też na tym, że, budując podstawy naszego życia wewnętrznego i stosunków z sąsiadami, nie kontytunuujemy lecz przekreślamy wiele założeń starych, przedwojennych, że przedwojenną geopolityczną koncepcję Polski uznaliśmy za zgubną dla narodu, i że nasza nowa koncepcja Polski jest zaprzeczeniem koncepcji przedwojennej.

A więc, przystępując do obrony pewnej tezy przed zarzutem koniunkturalności, sama zaczynam od koniunkturalnych twierdzeń, od czystej polityki. Tak jest. Lecz żadna myśl społeczna w dziedzinie nauki czy polityki nie rodzi się w próżni. Z nową, bardziej obiektywną świadomością polityczną przychodzą nowe koncepcje historiozoficzne. wskrzesza się stare, kiedyś, jak na swoje czasy, zbyt postępowe i przez to pominięte koncepcje. Polityczna koncepcja Polski międzywojennej miała między innymi podbudowę tradycyjnej legendy „kresów“, legendy o pokojowym, kulturalnym, niosącym wszelakie dobrodziejstwa pochodzie Polski na wschód.

Według tej legendy, w historii Polski, w odróżnieniu od historii wszystkich innych państw, nie ma aktów agresji, walki o kolonie, ucisku innych narodów czy dążności zaborczych Polska była krajem łagodnych i pokojowo usposobionych rolników, krajem, który nikogo nie ciemiężył i nie podbijał.

Teza, że na wschód szliśmy po to, aby wielką kulturą uszczęśliwić ciemnych „Rusinów“, była rodzoną siostrą teorii rosyjskich obszarników, utrzymujących, że rozbiory — dzieło Katarzyny — uratowały niezaradnych i nierządnych Polaków od chaosu; teorii angielskiej o dobrodziejstwach kultury angielskiej w Irlandii i w Indiach, i wielu innych teoryj powstających dla usprawiedliwienia imperializmu i zaborczości (z czego twórcy tych teoryj nie zdają sobie często sprawy). A trzeba by też przypomnieć, że wielowiekowe niemieckie „Drang nach Osten“ usprawiedliwiała szeroko lansowana w historiografii, publicystyce i literaturze idea o dobrodziejstwach niemieckiej kultury dla barbarzyńskich Słowian.

Czy można się zgodzić z twierdzeniem, że zarówno w czasach średniowiecznych jak i nowożytnych aneksja terenów narodowościowo obcych u wszystkich otaczających nas narodów wypływała z intencji zaborczych lub interesów materialnych klas posiadających, ale u nas te same zjawiska miały przyczyny zgoła inne, głęboko humanitarne i kulturalne?

Domagamy się surowo, aby inni przyjęli bez zastrzeżeń zasadę rewizjonizmu swych dziejów, ale tak samo obiektywnego stanowiska nie chcemy zająć wobec własnych dziejów, zakładając z góry, że nie mamy co rewidować, że nie mamy się czego wyrzekać z naszej przeszłości, gdyż zawsze byliśmy krajem wielkiej wolności obywatelskiej i „ekspansji kulturalnej“.

A przecież uzasadniana przez uczonych teoria dotycząca charakteru naszej wschodniej polityki była najmniej obiektywna ze wszystkich naszych tez historycznych. Toteż służyła ona najczęściej nie celom czystej nauki, lecz określonym interesom politycznym, nie mającym nic wspólnego z teoretyczną bezinteresownością.

Po przykłady nie trzeba sięgać zbyt daleko. Niemało szkody przyniosła ta legenda naszej przedwojennej polityce „na kresach“. Czy wielu Polaków zdawało sobie sprawę z istotnego charakteru naszych rządów na ziemiach za Bugiem i Sanem? I czy nie przyczyniła się do tego okoliczność, że rządy doby ostatniej miały za sobą ugruntowaną w społeczeństwie tradycję wielkiej pokojowej misji kulturalnej i polskości „kresów“?

Wyrzekliśmy się teraz nabytków z okresu jagiellońskiego (zapoczątkowanych zresztą przez Piasta Kazimierza Wielkiego). Dążymy do klasycznej i naturalnej struktury państwa nowożytnego, do struktury państwa jednonarodowego. Jesteśmy przekonani, że te nabytki fatalnie zaciążyły i ciążyłyby nadal na losach Polski, i nie tylko na jej stosunkach zewnętrznych, ale przede wszystkim powodowały nasze gospodarcze, społeczne i ideologiczne zacofanie.

Dzisiejsza obiektywna rewizja pewnych od dawna przyjętych koncepcyj nie jest przypadkowa, nie powoduje się „nie zawsze dobrze zrozumianymi potrzebami chwili“, a więc nie jest koniunkturalna. Taka rewizja jest zwykle pierwszym krokiem na tyle już dojrzałej demokracji, że zaczyna mieć własną narodową politykę. Jest niejako zabiegiem higienicznym, pewną profilaktyką przeciw odradzającym się w młodym organizmie miazmatom szowinizmu.

Stać było Marxa w okresie, gdy przewodził młodej demokracji niemieckiej, na potępienie „prusactwa“ i bismarckowskich sposobów jednoczenia narodu, na przygwożdżenie grabieży popełnionej we Francji. Ale Marx demaskował jednocześnie i przesłanki historyczne tych zjawisk — zbójecki, grabieżczy charakter ekspansji wschodniej niemieckich „rycerzy-psów“. A gdy później w Londynie zabierał głos w sprawach angielskiego ruchu robotniczego, nie zawahał się parlamentowi angielskiemu, terroryzowanemu przez bomby irlandzkich spiskowców, rzucić tych ważkich słów, właśnie z powodu Irlandii, iż „nie może być wolnym naród uciskający inne narody“. Stać było Herzena, ściganego emigranta, na konsekwentną rewizję, gdy formułował polityczne zasady narodowej polityki demokracji rosyjskiej. Stać było go na potępienie rozbiorów i stwierdzenie, że „jeden łańcuch nas skuwa“.

Stać było wreszcie nasz „Komitet Czerwonych“ z 1863 r. na uznanie w umowie z Herzenem prawa Ukraińców do samostanowienia. Centralny Komitet Narodowy w liście do redakcji „Kołokoła“ w 1862 głosił: „Dążymy do odbudowania Polski w dawnych granicach, pozostawiając narodom w nich zamieszkującym, tj. Litwinom i Rusinom, zupełną swobodę pozostawania w związku z Polską, lub też rozporządzania sobą według własnej woli... Najzupełniej szanujemy w narodach, z Polską połączonych, a dziś jej nieszczęsny los dzielących, zupełną swobodę rozporządzania swymi losami“...

A więc czyż zwycięską demokrację polską nie stać by było na obiektywną rewizję tak rozbudowanej w naszej ideologii legendy „kresów“? I czy należy to robić tylko gwoli „pokrzepienia serc polskich po utracie Wilna i Lwowa“, a nie z jakichś innych, bardziej zasadniczych powodów?

Śmieszne i antyhistoryczne byłoby rewidować posunięcia Polski średniowiecznej za pomocą kryteriów dnia dzisiejszego i teraźniejszych kategoryj politycznych. Decydujące pociągnięcia polityczne w przeszłości mają jednak swe echo w czasie, nie pozostają bez wpływu na kierunek rozwoju narodu i jego losy, dają się ocenić według ich roli w rozwoju narodowego postępu.

Polityka nie wychodzi nigdy z próżni, wynika z przeszłości narodu i jego historii. Realnym punktem wyjścia dla nowych etapów w polityce jest struktura społeczeństwa, kierunek i poziom rozwoju oraz pewne utarte koleje polityki, które dziedziczymy po poprzednikach; formę nowych pociągnięć podpowiadają nam często tradycje historyczne. Obiektywna ocena z punktu widzenia historycznego dorobku, rozpatrywanego w konkretnych warunkach czasu i przestrzeni, ma bardzo doniosłe znaczenie. Stojąc na gruncie historyzmu, uważając, że pojęcia imperializmu i najazdu są dziś inne niż były dawniej, możemy dać jednak obiektywną i wyraźną ocenę ich roli w procesie dziejowym. Gdy jedne fakty i zjawiska historyczne powodowały nasilenie procesów i prądów postępowych, inne rozwój ten hamowały i cofały, lub spychały na boczne tory. Z tego punktu widzenia dają się ocenić najbardziej odległe od nas dzieje. Sprowadzenie w XIII w. zakonu przez ks. Mazowieckich, naturalne dla czasów, gdy nie było antagonizmów narodowych, oceniamy w pełni po jego fatalnych następstwach historycznych. Nie podlega dyskusji pozytywna rola unii polsko-litewskich w walce z niemieckim niebezpieczeństwem i przełomowe znaczenie Grunwaldu. Dziś nie ma dwóch zdań, że jarzmo tatarskie zahamowało poważnie rozwój cywilizacyjny Słowian wschodnich.

Bardzo wiele zjawisk nie daje się ocenić w sposób jasny; często nowy aspekt ujęcia lub nowe dokumenty otwierają inną perspektywę. Spraw spornych jest szczególnie dużo w historii polskiej, gdyż proces historyczny występuje tu w mniej jasnej i klasycznej formie niż w krajach zachodnio-europejskich. Np. stanowiska „Tygodnika Powszechnego“ i lewicy w ocenie historycznego znaczenia reformacji polskiej są biegunowo różne. Natomiast znaczenie w rozwoju naszego postępu katolickiej kontrreformacji jest bezsprzecznie negatywne. **Sprawa wschodnia, tak ze stanowiska polskiego jak i ukraińsko-białoruskiego, należy u nas także do tych kwestyj, które wymagają szerokiej i rzeczowej dyskusji.**

Chcę tu poruszyć wyłącznie sprawę oceny naszej polityki wschodniej i wyjaśnić, czy słusznie się oskarża lewicę o „zakłamanie naszej historii“. Nie poruszam wobec tego sprawy, czy w okresie jagiellońskim dbaliśmy dostatecznie o nasze interesy zachodnie. Zaznaczę tylko, że kierowanie energii, inicjatywy politycznej, zasobów wojennych i ludzkich na ziemie wschodnie musiało się odbywać i odbywało kosztem naszych interesów na zachodzie.

Dąbrowska twierdzi, że „instynkt agresji w Polsce i tak był słaby“. Wskazuje wprawdzie na „błędy nasze“ popełnione przez dopuszczenie do nadmiernego rozrostu „na kresach „magnackich królewiąt“ i przez ucisk społeczny ruskiej ludności pracującej, ucisk pospolity zresztą wtedy we wszystkich prawie krajach“ — ale wysuwa też tezę, że „agresją“ ówczesnej Polski była jednak nade wszystko pokojowa i samorzutna ekspansja jej potęgi kulturalnej.

Czy rozrost „królewiąt“ i fakt ucisku „ruskiej ludności“ był tak drugorzędny? Czy charakter naszej ekspansji był tylko pokojowy i kulturalny? Wyzysku ekonomicznego, jego form, nie można uważać za czynnik drugorzędny i pomijać go w ocenie charakteru naszej ekspansji. Prowadzi to do takiego samego błędu w ocenie społecznej treści zjawiska, jak podkreślanie walorów demokracji greckiej, pomijając jako „rzecz zwykłą i pospolitą dla owych czasów“ to, że koszty owej demokracji ponosiły wielkie masy niewolników. Nie można wyjaśnić przyczyn późniejszego upadku Grecji, nie uwzględniając tego momentu. Gospodarczo-społecznej podstawy wypadków historycznych nie uda się wyrzucić z poważnej syntezy. Wypędzony przez drzwi ten zasadniczy czynnik dziejowy wróci przez okno.

Wzrastająca potęga magnatów kresowych w okresie, gdy w innych krajach dochodziło do konsolidacji wewnętrznej i umacniała się centralna władza państwowa, opierała się w pełni na kolonizacji ziem wschodnich. „Królewięta“ wyrośli wraz z rozkwitem poddaństwa na „kresach“. Właśnie tam krystalizowały się najbardziej bezwzględne, najbardziej intensywne, klasyczne formy wyzysku pańszczyźniano-poddańczego, przy nadzwyczaj ekstensywnych i barbarzyńskich metodach pracy. Stamtąd te formy wyzysku przeniesiono do Polski właściwej. Na „kresach“ wolność osobista, wolność chłopa była najbardziej pognębiona. Tam arenda żydowska, jako najohydniejsza forma magnacko-szlacheckiego ucisku, miała najszersze zastosowanie. Dlatego tak zawrotnie rosły fortuny magnackie, dlatego ziemie wschodnie były swoistym „zachodem“ (w amerykańskim sensie) dla polskiej szlachty.

Ani w państwie moskiewskim, ani na Litwie w XVI i XVII w. poddaństwo nie przyjęło tak „dojrzałych form“. W Polsce stosunki feudalne były bardziej rozwinięte. Polską klasę panującą, zwłaszcza na kresach, wciągnął bez porównania więcej niż w Moskwie i na Litwie handel zbożowy i to na skalę światową. Produkowanie na rynek powodowało najbardziej bezwzględny wyzysk chłopa jako siły produkcyjnej. Toteż niesłuszne byłoby twierdzenie, że ucisk chłopa rozwijał się wszędzie jednakowo i jednocześnie. W następstwie przyłączenia województw ruskich do Korony, tamtejsze chłopstwo odczuło polską „agresję kulturalną“ przede wszystkim jako wzmożenie wyzysku, jako pogorszenie swej sytuacji ekonomicznej i społecznej. Oto jedna z prozaicznych i realnych przyczyn ciążenia chłopów w okresie powstań kozackich ku Moskwie. I na odwrót, wzmożenie poddaństwa w Rosji w drugiej połowie XVIII w. powodowało liczne fakty ucieczki chłopów z Rosji do Polski*).

*) Pominęłam tu ze względu na rozmiary artykułu wiele istotnych kwestii, jak: wcześniejszą kolonizację Rusi Halickiej, zastosowanie prawa niemieckiego, likwidację gminy chłopskiej na Ukrainie i „rewizję praw“ ruskiej szlachty itd.

A jednak jeśli chodzi o problem „kresów“, trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim ucisk narodowy. Przywykliśmy uważać, że na ziemiach wschodnich zastaliśmy pustkę, że nie było tam kultury ani tradycji. Pustkę tę zapełniliśmy naszą „samorzutną agresją kulturalną“, czym wyświadczyliśmy „Rusinom“ niesłychane dobrodziejstwo. Już powszechnie przyjęty termin „Rusini“ odmawia Ukraińcom ich narodowej odrębności. Ba, termin „Ukraina“ wprowadzony przez samych Ukraińców, uważaliśmy za zamach na nasz stan posiadania, jako „swoisty wybryk historyka lwowskiego“... „który ująwszy w całość historyczną rozproszone i różnorodne dzieje grupy narodów słowiańskich, podbitych przez Rurykowiczów...“, „...nazwał obszary środkowego Podnieprza, Wołynia, Podola i Halickiego Podkarpacia „Ukrainą“ a różnorodne gałęzie pnia słowiańskiego, zamieszkujące je „narodem ukraińskim“. Była to z jego strony pewnego rodzaju licentia poetica wbrew historii, wprawdzie i logice, która nie miała za sobą innego poparcia oprócz względów politycznych“. Pisał tak przed kilkunastu laty jeden z naszych pseudohistoryków.

Tak oto uzasadnialiśmy naszą pogardę narodu już zorganizowanego dla „rozprószonych“ Rusinów. Uwzględniając wielkie zmiany rozwojowe w historii własnej, przeczyliśmy ich istnieniu u innych. O „Rusinach“ zgadzaliśmy się mówić tylko pod kątem widzenia stosunków z X wieku.

Otóż musimy się jednak na to zgodzić, że choć w różnym tempie i w różnym stopniu, to przecież w XVI i XVII stuleciu krystalizowała się kultura narodowa narodów słowiańskich. Przodowała w tym procesie Polska, jako bardziej wówczas posunięta w rozwoju, przeżywała ten proces i Rosja. Znajdująca się między nimi Ukraina nie była wyjątkiem. Dawno przecież przestaliśmy składniki kultury narodowej widzieć tylko w kulturze klasy panującej, a więc szlachty. Element ludowy był ważkim czynnikiem kulturalnym i musi być brany pod uwagę. Na kulturę narodową składa się przede wszystkim jednolity język narodowy i religia, a także epos i folklor ludowy. Wszystkie te podstawowe elementy kultury narodowej Ukraińcy i Białorusini posiadali. Była zwarta masa ludowa mówiąca jednym językiem. Były już drukarnie ukraińskie i białoruskie, były książki w tych językach, dające poważne świadectwo dojrzałości kulturalnej narodu.

Ta kultura narodowa, mimo pokrewieństwa plemiennego, była odrębna od polskiej, przede wszystkim pod względem religijnym. Jak wiadomo, rozmaite ośrodki wpływów kulturalnych i religijnych przyczyniły się do tej odrębności. Nawet architektura, nawet ludowe upodobania artystyczne różniły się znacznie od naszych. Jeśli jednak kultura narodowa polska — język, folklor, poezja, była pokrewna ukraińskiej, to latynizm, czyli, jak mówi Dąbrowska, szerzona poprzez Polskę kultura łacińska, był Ukraińcom absolutnie obcy, jak obcy był i katolicyzm.

To było właśnie najbardziej istotne. W owych czasach religia była jeszcze najbardziej rozpowszechnioną formą ideologii i wyłączną formą świadomości ludowej. Odrębność narodowa kojarzyła się ściśle z odrębnością religijną i w niej ujawniała się najgłębiej.

Czy obcy język, obca religia, mechanicznie i pod przymusem narzucona z zewnątrz kultura mogą być odpowiednią formą dla naturalnego, kulturalnego i cywilizacyjnego, rozwoju narodu? O tym wie chyba najlepiej nasz własny naród. Aneksja i kolonizacja rzadko przynoszą dobrodziejstwa cywilizacji i kultury **szerokim masom kolonizowanego narodu, nawet wtedy, gdy jest to kultura europejskich metropolii przeznaczona dla Murzynów afrykańskich.**

Polonizacja i katolicyzm — były to kanały ofensywy gospodarczo-politycznej i Ukraińcy odczuwali je jako ucisk narodowy. Z tego punktu widzenia Unia Brzeska była gwałtem popełnionym na sumieniu narodu. Była nim, chociaż biskupi lwowski, piński, chełmski, metropolita kijowski i inni ukraińscy dostojnicy kościoła poparli unię. Przystąpienie do unii części wyższego duchowieństwa i szlachty i ich szybka polonizacja były zwyczajną zdradą narodową. Ukraińska ludność miast, nie mówiąc już o innej ludności, występowała przeciwko unii. Ruch antypolski miast ukraińskich w XVI i XVII w., ich udział w powstaniu Chmielnickiego świadczą o wysokim na ogół stopniu świadomości narodowej i kultury. Nie można pominąć faktu, że polonizacja objęła tylko górną warstwę narodu ukraińskiego. Chłop i rzemieślnik był i pozostał Ukraińcem. Tak samo jak na Śląsku polski chłop nie uległ zniemczeniu. Trzon narodu pozostał przy swojej kulturze.

Jak wytłumaczyć wreszcie tak poważne zjawisko społeczne jak ruch Chmielnickiego, jeśli trzymać się będziemy tezy o pokojowej ekspansji kulturalnej, pozbawionej zaborczości i ciemięstwa? Przecież, zważywszy dzisiejszy poziom nauki historycznej, nie możemy tego wielkiego ruchu społecznego, który chłopską walkę klasową łączył z narodową wojną wyzwoleńczą, uważać za „swawolę i pijackie próżniactwo hołoty ukrainnej", jak tego pragnie wspomniany historyk, autor książki o Kozaczyźnie.

W tej narodowej wojnie Ukraińców starszyzna kozacka odgrywała rolę sternika, któremu burza wyrywa ster z rąk; rejestrowe zatargi z Koroną były tylko epizodami.

Już Staszyc umiał zdobyć się na szczery obiektywizm w pojmowaniu przyczyn tego ruchu, w magnatach polskich widząc czynnik, który „ród bitnych kozaków od Polski oderwał i nieprzyjaciółmi Polski być zmusił".

Wstrząs, jaki przeżyła Polska z powodu powstania Chmielnickiego, był jedną z cen, jaką trzeba było płacić za tę całkiem nieidylliczną agresję.

Były i inne przykre konsekwencje: rozrost magnaterii kresowej, która była przeszkodą dla konsolidacji państwa i stworzenia silnej władzy królewskiej, doniosła rola reakcji feudalno-obszarniczej w przeciągu wieków. Nieograniczone możliwości wyzysku siły poddańczej na urodzajnych terenach wschodnich uczyniły z Polski spichlerz Europy przy równoczesnym zacofaniu gospodarczym. Te możliwości spowodowały długowieczną konserwację zacofania w technice i kulturze rolnej. Polityka handlowa magnatów wschodnich spotęgowała niszczycielską dla miast politykę gospodarczą i przyczyniła się wybitnie do zahamowania rozwoju rynku wewnętrznego, tego podstawowego czynnika narodowej jedności gospodarczo-społecznej.

Punkt ciężkości gospodarki narodowej i gospodarczych zainteresowań klasy panującej spoczywał przeważnie na agrarnym wschodzie ze szkodą miast polskich, w szczególności miast zachodnich, ze szkodą ogólnych ekonomicznych interesów Polski.

Ten wyzysk kolonialny stosowany na olbrzymich obszarach ciężko zaważył na polskim postępie, odegrał rolę potężnego hamulca w dziedzinie politycznej, gospodarczej i kulturalnej.

Imperialistyczna polityka Rosji carskiej w XX wieku opierała się na zdobyczach z czasów feudalno-szlacheckich. Podstawą wielkokapitalistycznego imperium brytyjskiego są kolonie zdobyte przed kilkuset laty. Podobnie nasze międzywojenne panowanie na kresach było bezpośrednią kontynuacją przedrozbiorowego stanu posiadania. Przez 20 lat drugiej niepodległości zadziwiająco mało zmieniła się gospodarczo-społeczna struktura „kresów". Tak samo, jak przed dwustu laty, nad ukraińską chłopską nędzą górował polski dwór. Zachowały się nawet półfeudalne formy pracy chłopskiej. Zachował się wybitnie rolniczy charakter kraju i utrzymał nawet nędzny poziom kultury rolniczej.

Mówiło się, że Polska nie ma kolonii, a „kresy" polskie są nasze od wieków (najlepsza szlachta — kresowa) ze staropolskim dworkiem kuligiem, tradycjami.

A krwawe pacyfikacje?

Wszyscy wiedzą, że na „kresach" trwał faktycznie stan oblężenia. Pacyfikacje wsi, rozpoczęte w 1930 r. na terenach wschodnich i tam wypróbowane, w latach 1936-37 odbywały się już na rdzennie polskich ziemiach. Wiadomo także, że 60% więźniów politycznych stanowili Ukraińcy i Białorusini.

A polityka szkolna? Według Małego Rocznika Statystycznego z roku 1937—38 z ogólnej liczby ludności wynoszącej 31 milionów 215 tysięcy — ludność grecko-katolicka stanowiła — 7 mil., czyli około 22,5%. Z ogólnej zaś liczby dzieci uczęszczających do szkół powszechnych, na szkoły ukraińskie przypada 1%, a na szkoły z językiem wykładowym polsko-ukraińskim 10% (szkół białoruskich nie było). Jeszcze jaskrawsze są cyfry odnoszące się do szkół średnich. Tu procent uczniów ukraińskich, białoruskich i polsko-ukraińskich stanowił w sumie 2%. Dla szkół zawodowych ukraińskich otrzymujemy tylko — pół procentu! Białoruskich i ukraińskich szkół wyższych, jak wiadomo, nie było.

Czy cyfry te nie świadczą wymownie o przymusowej polonizacji?

Nieoficjalna statystyka z czasów przedwojennych, znana wielu naszym uczonym, dobitnie dowodzi, że z punktu widzenia narodowego polityka ta nie osiągnęła celu.

Statystyka mówi o stopniowej ukrainizacji miast polskich na „kresach". Z roku na rok wzrastał procent Ukraińców w miastach, malał procent Polaków. Miasto dawno spolonizowane, które obok dworu było ośrodkiem kolonizacyjnym, nie mogło się odgrodzić chińskim murem od ukraińskiej wsi, która decydowała o narodowym obliczu kraju. Toteż w miarę rozwoju kapitalistycznych stosunków na wsi, gdy się zaczęło przewarstwowienie wielomilionowego chłopstwa, miasto pochłaniało rzesze wychodźców ze wsi. Następował proces stopniowej ukrainizacji miast. Proces ten najdobitniej świadczył, po czyjej stronie jest prawo historyczne do tych ziem, jaki naród zadecyduje o ich przyszłości. Charakterystyczne jest, że podobny proces zachodził w zniemczonych miastach zachodnich; tam wieś była polska. Walka z tym żywiołowym procesem, jak i walka ze świadomym ruchem wyzwoleńczym była dodatkowym czynnikiem faszyzacji Polski. Wspominałam już o przeniesieniu pacyfikacji na ziemie rdzennej Polski. Jak i 200 lat temu polityka kolonialna pośrednio i bezpośrednio uderzała w naród polski. Ale owa statystyka mówi jeszcze o jednym. Świadczy ona, że braterska walka proletariatu narodu uciskającego o prawa dla narodu uciskanego odpowiadała realnej tendencji historycznej.

Autorka porusza i kwestię unii polsko-litewskiej. Nie zgadza się, aby Unię Lubelską traktować jako „przykład niesprawiedliwej agresji" w celu oderwania ziem ruskich od Wielkiego Księstwa Litewskiego. Agresji według Dąbrowskiej nie było, gdyż „szlachta ruska — jedyna warstwa czynna wówczas dziejowo" sama się domagała przyłączenia ziem ruskich do Korony.

Dąbrowska uważa, że „Rusini woleli wówczas być raczej z Polską niż z Litwą", gdyż pociągały ich „moralne wartości" Polski „uprawniające ją do tego pokojowego zaboru", pociągała ich „wielka wolność obywatelska w Polsce i wielka kultura". Rusini chcieli być obywatelami Polski, „gdyż obywatelstwo Rzeczypospolitej było w XVI w. rzeczą zaszczytną, cenioną i nęcącą dla wielu cudzoziemców i wielu je też chętnie przyjmowało".

Wyższość kulturalna Polski na ówczesnym wschodzie Europy oraz przewaga kulturalna szlachty polskiej nad szlachtą ruską są niewątpliwe.

Lecz nie o zbliżenie się do kultury polskiej chodziło szlachcie ruskiej, gdy uporczywie walczyła o przyłączenie do Korony. Chodziło jej raczej o „wolność obywatelską" czyli o polskie przywileje szlacheckie. Czy ową wolność obywatelską, która, jak przyznaje Dąbrowska, była „ograniczona naturalnie klasowymi pojęciami owego czasu" — można identyfikować z postępem, czy można ją indentyfikować z abstrakcyjnym pojęciem wolności? Jak owa wolność szlachecka wpłynęła na rozwój polskiej państwowości, polskiej konsolidacji narodowej i odporności?

To jest już inna kwestia, nad którą dyskusję w literaturze zapoczątkowali w XVIII w. Rousseau i Mably, wypowiadając tak wręcz przeciwstawne poglądy. Kwestia, co do której, zdaje się, w historiografii polskiej nie ma różnych zdań.

Walka o przyłączenie do Polski miała prozaiczny podkład — egoistyczny interes klasowy. Szlachta ruska chciała przejść do Korony, aby otrzymać takie same polityczne i ekonomiczne przywileje, jakie miała szlachta polska. Był to zresztą ostatni etap długiego procesu: walki bojarów ruskich z władzą wielkich feudałów litewskich. Wpływy polskie na Litwie od dawna pomocne były szlachcie ruskiej w tej walce. Obok polskich herbów otrzymywali bojarzy przywileje podporządkowujące całkowicie chłopów ich władzy. Oto odwrotna strona krystalizowania się „wolności obywatelskiej" na Litwie. Społeczeństwo litewsko-ruskie, wchodząc w okres rozwiniętych stosunków feudalnych, sięgało do najbliższych wzorów — wzorów polskich, bardziej dojrzałych i nowocześniejszych.

Klasowe dążenia ruskiej szlachty zbiegły się z terytorialnymi roszczeniami Korony i zostały przez nią umiejętnie wyzyskane. Toteż Litwa stanęła wobec Unii znacznie okrojona.

Na dowód, że agresja Polski miała charakter samorzutnego promieniowania jej kultury, że kultura polska „była prawdziwą Polski mocarstwowością jeszcze wtedy, gdy mocarstwowość polityczna zaczęła upadać" — podkreśla autorka wpływy Polski w Rosji, wpływy na dworach carskich i bojarskich.

Wpływy takie w Rosji przedpiotrowej bezsprzecznie istniały. Jeszcze za cara Aleksego i za lat młodocianych Piotra ubierano się na dworze moskiewskim w polskie kontusze, język polski był tam ówczesną francuszczyzną, a księżniczka Zofia po polsku pisywała listy miłosne. Wpływy te miały jednak jednostronny charakter kultury dworskiej i były na ogół powierzchowne: sprowadzały się do języka, ubioru, obyczajów i pewnego blichtru światowego.

Dlaczego te polskie wpływy po „wyrąbaniu" przez cara Piotra „okna na Europę" zostały tak szybko i na zawsze zastąpione przez wpływy angielskie, holenderskie, niemieckie, a później francuskie?

Mieszczańska kultura Odrodzenia dokonała na Zachodzie przewrotu nie tylko w dziedzinie sztuki i literatury. Była przełomem w zainteresowaniach ludzkich, zapoczątkowała rewolucję w naukach przyrodniczych i technicznych, w dziedzinie produkcji. Na gruncie polskim Odrodzenie przejawiło się głównie w jednostronnym rozkwicie kultury humanistycznej (Kopernik był zjawiskiem wielkim i wielkim wyjątkiem). Dalej na wschód polska kultura promieniowała jeszcze bardziej jednostronnie. W polskich książkach, które stały na półkach w domach bojarskich, nie było modeli okrętów i wykresów technicznych. Polonezy i kontusze nie mogły być wzorem dla reform administracyjnych. Dlatego po kulturę w głębszym i szerszym znaczeniu, po kulturę nowoczesnego rządzenia, po nowe narzędzia, maszyny, po wzory szkół technicznych, po inżynierów, uczonych i majstrów — po to wszystko, czego Piotr nie mógł znaleźć w feudalnej Polsce, pod względem kultury materialnej prawie tak samo zacofanej jak Rosja, sięgnął do miast i portów holenderskich i angielskich.

I, gdy słusznie podkreślamy nasz rozkwit kultury w XVI w., nasze wpływy kulturalne, naszą rolę „kulturalnego ośrodka dyspozycyjnego na wschodzie Europy", trzeba uwzględnić i słabe formy naszej tam roli, trzeba zdać sobie sprawę z jej jednostronności, z tego, że nasze wpływy nie przynosiły postępu kultury materialnej, nawet w dziedzinie rolnictwa u nas dominującego w czasie, gdy właśnie zaczynała już dochodzić do głosu i decydować o rozwoju kultura techniczna. Tu należy szukać przyczyn, z których powodu nasze trwałe wpływy ograniczały się do bardzo zacofanej Litwy, z których powodu nie pozostaliśmy na długo „ośrodkiem dyspozycyjnym", bo wyprzedzili nas inni.

Nasza własna podstawa wytwórcza, nasze formy rządzenia były bardzo zacofane, nie mogliśmy więc nikomu przynieść poważniejszych perspektyw rozwojowych, nowych form życia czy lepszych narzędzi wytwarzania.

Maria Dąbrowska chce widzieć naszą historię czystą od podbojów i agresji. Mamy pod tym względem stanowić między innymi narodami szlachetny wyjątek. Nawet naszą „parokrotną bytność w Moskwie" traktuje autorka jako konieczny akt samoobrony przeciwko rosyjskiemu niebezpieczeństwu, „jak tego dowiodły rozbiory Polski".

Historia wymaga jednak, aby przestrzegać jednego zasadniczego warunku: uwzględniania realnych zmian w rozwoju narodów. Pozwolę sobie przypomnieć, że od pierwszych lat XVII w. do rozbiorów niemało upłynęło wody i że nasza „dwukrotna bytność w Moskwie" nie była wcale aktem samoobrony. Zwycięstwa Batorego dowiodły, po czyjej stronie była przewaga. A przecież w następnych latach, w latach naszych pochodów na Moskwę, był to kraj znacznie słabszy. Państwo moskiewskie przeżywało tak zwany okres „smuty", okres bezkrólewia, gospodarczego i politycznego chaosu, przeżywało agresję szwedzką, trapił je głód, rozruchy miejskie i wielkie powstania chłopskie. Starczy sięgnąć niedaleko, bo do Bobrzyńskiego, który pisze, iż „z końcem XVI w. była ona (Moskwa) tak słaba, że najśmielsze przedsięwzięcia przeciw niej wydawały się i były możebne".

Nie ulega wątpliwości, że ze strony polskiej była to zwykła na owe czasy agresja państwa silniejszego. Ta nasza polityka XVII wieku przypomina bardzo ingerencję rosyjską w nasze sprawy za czasów saskich, gdy Polska była z kolei stroną słabą. Wydaje mi się słuszne, że walkę rosyjskiego pospolitego ruszenia z roku 1611—1612 uważa nauka radziecka za obronę przed interwencją. Odpowiada to istotnie ówczesnej sytuacji. Tak samo politykę Katarzyny II wobec Polski i rozbiory traktuje historiografia radziecka jako bezprzykładną agresję.

Obronę polityki polskiej przed oskarżeniem o zaniedbanie naszych interesów na Zachodzie rozciąga Maria Dąbrowska i na Polskę przedwrześniową, twierdząc, że rezygnacja z Ziem Zachodnich po pierwszej wojnie światowej była „rezygnacją z konieczności, jak zwykle w sprawach granic. Boć przecież mocarstwa zwycięskie Kongresu Wersalskiego nie dopuszczały nawet myśli o rozszerzeniu naszych granic zachodnich, ba, kwestionowały nawet Gdańsk".

A jednak tak źle nie było. Jak wiadomo, komisja Cambonne'a wypowiedziała się za przyznaniem Polsce całego Górnego Śląska i Opola. Interesów naszych broniły również pewne artykuły propozycji pokojowych. A więc opinia sojuszników nie była wcale zgodna w naszej sprawie. Były bowiem czynniki, na których można się było oprzeć. Cóż kiedy energia polityczna Warszawy skierowana była w inną zgoła stronę.

Już wkrótce po wojnie Piłsudski tłumaczył delegatom przybyłym ze Śląska, że „walka o Śląsk to trudna sprawa. Śląsk to stara kolonia niemiecka. Śląsk od 700 lat nie należy do Polski".

Tymczasem „stara kolonia niemiecka" — górnicy, hutnicy i chłopi polscy rozpaczliwie walczyli o przynależność do Polski.

Nie umieliśmy wyzyskać plebiscytów, nie poparliśmy dążeń optantów polskich, nie okazaliśmy im pomocy, nie reagowaliśmy na terror niemiecki. Delegatom z terenów plebiscytowych tłumaczono w Belwederze, że na Warmii i na Śląsku „ludność tamtejsza wcale nie chce do Polski należeć. A jeżeli ludność nie chce do nas należeć, to po co ją do tego przymuszać".

Ale jeszcze przedtem zbrodniczo zmarnowaliśmy powstanie śląskie — ten najprawdziwszy plebiscyt, plebiscyt pisany krwią. Czy podnieśliśmy ten nasz największy atut? Czy wyzyskaliśmy go, aby dowieść światu polskiej narodowej przynależności Śląska? Wreszcie, czy pomogliśmy powstańcom?

W przededniu pierwszego powstania generał Haller, stojący na śląskiej granicy, twierdził, iż „nie może być mowy o zbrojnym ruchu ludu polskiego przeciwko Niemcom".

Kiedy powstańcy, bez broni, bez armat, ponieśli znaczne straty, opanowali prawie całe zagłębie przemysłowe, wyborowe wojsko polskie na granicy sprzeciwiało się udzieleniu pomocy powstańcom, nawet przez ludność cywilną. Dowódca 6 pułku płk. Łukowski donosił, że „ludność cywilna masami rwie się za granicę. Obecnie nic ją więcej nie obchodzi, jak walka powstańców z Niemcami. Jest ona oburzona na naszą inercję i patrzy na nas, jak na zdrajców sprawy narodowej". Po upadku pierwszego powstania nastąpiło drugie i trzecie.

W drugim powstaniu połowa powstańców była bez broni. Nie mieliśmy ani czasu, ani broni dla Ślązaków. Był to gorący okres wojny polsko-sowieckiej, w której sięgaliśmy po „Wołyń, Polesie i Wilno", po „Libawę i Rygę jako łatwą kompensatę za wątpliwy Gdańsk" — jak mówił Piłsudski. Zresztą szło się tam, gdyż, jak twierdził Studnicki, „co weźmiemy, to będzie nasze". Na zachodzie zaś o nasze trzeba było walczyć. I wzorował się obóz Piłsudskiego na tradycji. Sięgaliśmy przecież po „dziejową puściznę", po „dziedzictwo jagiellońskie" — nie poczuwając się do tej puścizny tam, gdzie krwią płacono za chęć należenia do Polski.

Jeśli zdecydowałam się na polemikę z naszą sławną pisarką, to dlatego, że poruszone przez nią kwestie uważam za bardzo istotne za kwestie niepokojące wielu a dotąd prawie nie poruszane. Chciałabym, żeby moje uwagi były wstępem do szerszej, gruntowniejszej dyskusji. Miałaby ona wielkie znaczenie dla naszego uświadomienia narodowego i społecznego.

Celina Bobińska

ADAM WAŻYK

WIERSZE WYBRANE*)

APOLOG

Nie chcę klucza od przepaści, od żadnych studzien
nie jest perłą perła na dnie mórz ukryta.
Kamienie kradną imiona niebu,
kamieniom — ludzie.
Zginie królestwo rzeczy — będzie rzecz pospolita.
Rubin gorący patrzy okiem cherubina,
jak kot kosmiczny krzemień zachwala się iskrzeniem!
w maszynach, w drzwiach, we mnie, wszędzie woła:
Przemień!

Daj piękne imię mnie i maszynie.
Sokami rzeczy tętnią.
Pod rzeczy korą płonie i płynie!
Prądy faliste, zasupłane linie
schodzą się ze mną w pulsujące jedno
i porastają w urodę
barw wielorakich i w kształtów polot.
Jak trzoda pastucha, tak mnie więzi miasto,
drzewo mówiące płodem,
gniazdo ciężarne ptactwem,
rozkwitających rzeczy apolog.
Jak koń łaciaty rży świat do wodopoju!
Jak pies się pręży w słońcu i na księżyc szczeka!
Odzieram rzeczy z kory i rozcinam słoje
diamentem, wypalonym przez mądrą maszynę,
krzemieniem, który ma imię człowieka,
rubinem,
mitologią dni moich.

AORTA

Sklepy malowane są zieloną farbą
wynosi to najtaniej Zieleń miejska jest we mnie.
Jeśli kiedy ukradkiem rozchylisz ulic album
znajdziesz tam twarze przyjaciół mych witryn oazy
i co ważniejsza kapelusz mój głęboko nasunięty na ciemię
jak biplan płócienny zwycięża obłoki i zamieć
gdy przechodzę tędy bardzo wiele razy
nie znając żadnego okna balkonu żadnego szyldu na pamięć.
Za szybą wystaw wieją geometryczne pejzaże.
Mieszkaniec ustronnej uliczki dążę do serca miasta
Laska moja wydzwania kwadranse po trotuarze
gruba laska niezgrabna jak chłopak który podrasta
To prawie tak jak w twojej maszynie do pisania kiedy
na skraju walca pismo wyparuje w dźwięki
To byłoby cudem w dzieciństwie kiedy zbieraliśmy marki

*) Z tomu „Wiersze wybrane", który ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika".



Adam Ważyk

dziś klawisz kaleczy ci palce
i głos ten to głos twojej ręki
Dziś
kiedy karty dni
karty mojej książki
okładka nocy zamyka
cień mojej laski łamany na murze
(dawno już nie pisałem wierszy)
wygląda jak oskard górnika.

POŻEGNANIE INKIPO

Inkipo, końskie miasto, gdzie różowe klacze
wyrastające nad ludzi, na przełaj stuleci
biegły, żegnaj, Inkipo, jeśli cię zobaczę
kiedyś, to chyba w książce pisanej dla dzieci:
spoczciwiałe miasteczko, będziesz kalkomanią
odartą z mgły perłowej i chłopcy poklepią
twoje konie po grzbietach, nie zagadasz stajnią
parskającą od przygód, co się wszystkie ślepo
kończyły — zagadkową karczemną scenerią
albo lasem bez wyjścia..... Jakaś nastoletnia
skrytobójczyni, pędząc na skradzionej klaczy,
zmrużyła do mnie oko: tam nie brano serio
nawet zbrodni i człowiek jak las obojętniał:
ptak się z niego naśmiewał: co właściwie znaczy
Inkipo, to nieludzkie urojenie? Żegnaj,
miasto, które sławili mistyfikatorzy!
Ja także zachodziłem między nich onegdaj,
alem ja, brednio moja, zgryzł cię i otworzył
przez pół, pokrętną, stęchłą, jak wnętrze orzecha,
co wysechł. Jeśli o mnie spyta kto w Inkipo,
odpowiedzcie mu prawdę: nawet ten odjechał

1940

CZUWANIE

Trzydziestokilkuletniemu wypada widzieć jasno,
jak się prawują pociski, jak nocą w głębokim krysztale
wirują czasy i losy, miotły ogniste gasną
nad ośnieżoną równiną, zanim ruszymy dalej.

Im bliżej kraju, tym dziwniej: w piersi niepokój się wzmaga —
jest w mieście ruin i wspomnień uliczka, którą kochałem,
tam pies odpowie jak echo, kiedy zaszczeka mój nagan,
dziewczyna wyjdzie z ukrycia okrzyknąć mnie słowem zdziczałem.

Dlatego ta biała równina w świetle pocisków, nim zgasną,
rozciąga się jak rozłąka nie ogarnięta pociskiem.
Ty, która jesteś oddechem, wejdź i przekaż mi hasło
w zawianej śniegiem ziemiance na wielkiej ziemi rosyjskiej

Front na Smoleńszczyźnie 1944

NIKE

Żołnierze maszerują przez most pontonowy,
spodem płynie żółtawa, najprawdziwsza Wisła.
Za mostem na przyczółku stoją pierwsze groby
tych, co przyszli znad Oki, ubożuchna ziemia
otuliła ich płachtą piachu i milczenia,
pociskiem o nich gada w noc artylerzysta.

Rzeki płyną za nami, przepływają dzieje,
myśmy w rzekach dalekich poili nadzieję,
niecierpliwieśmy pchali w wiosenne roztopy
koła dział, w obcej glinie odciskali stopy —
każda rzeka za nami w pamięci pięknieje.

W ziemiance koło świecy mój automat drzemie
i cień mój czuwający chciałby wrócić we mnie.
Nie powracaj przed najściem różowej jutrzenki,
śpij słodko na mej pryczy, posągu bezręki,
koc żołnierski rzuciłem na twą pierś kobiecą,
na twe skrzydła zwinięte, które jutro wzlecą.

Wrzesień 1944, front

JÓZEF GARBACIK

Filip Kallimach Buonacorsi

W 450 rocznicę śmierci

Zagadkową i pełną sprzeczności osobistością był Filip Kallimach Buonacorsi z San Gimignano. Wielbiciel sztuki klasycznej, utalentowany poeta, republikanin i rewolucjonista organizujący w r. 1468 bunt przeciwko papieżowi, a potem oddany poplecznik monarchii jagiellońskiej i wróg papiestwa, które go ściga po wyspach morza Egejskiego i nakłada cenę na jego głowę; niedługo potem projektodawca przymierza Polski z Rzymem przeciw Turkom, niedawny niefortunny zdobywca wyspy Chios na rzecz sułtana; intymny doradca Kazimierza Jagiellończyka przeciw Maciejowi Korwinowi, a potem jego gość na zamku w Budzinie. Awanturnik i pijanica w oczach współczesnych ziomków, staje się w Polsce budzicielem nowych prądów kulturalnych; agent i szpieg Wenecji, używający dla donosów szyfrów Rady Dziesięciu, troszczy się szczerze o polityczne wyrobienie Polaków i pozostawia dość znaczną grupę, która z dumą będzie się mienić uczniami Kallimacha.

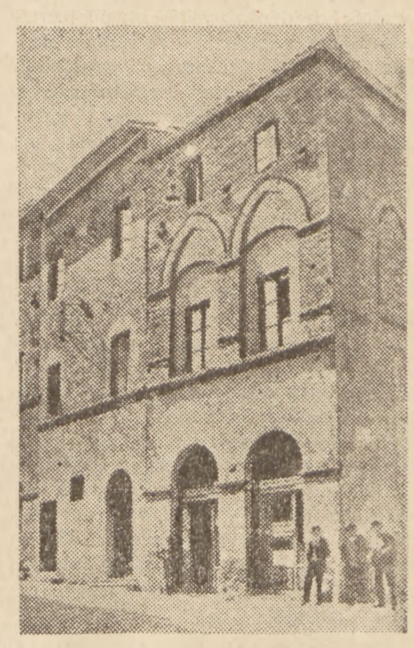


Filip Kallimach Buonacorsi

Czy to nie ciekawy przedmiot do rozważań w 450-lecie jego śmierci? Najpierw słów kilka o życiu i działach.

Urodził się w San Gimignano, jako syn Piera d'Angiolo di Christoforo di Neri (1437). Rodzina jego wywodziła się z Wenecji i sam Kallimach chętnie nazywa się Wenecjaninem. Przy poparciu możnych krewnych dostaje się do Rzymu, gdzie też pociągnie za nim jego młodszy brat. Tu wstępuje do sławnej akademii Pomponiusa Letusa, czarującego miłośnika starożytności, skupiającego wokół siebie młodych i starych entuzjastów kultury starożytnej, głoszącego idee śmiałe, ubrane w piękną formę, naśladującą wielkich mistrzów starożytnych. Grono to przybierało sobie greckie i rzymskie nazwiska jak Asklepiades, Glaucus, Volscus, Petreius, Platina. Mimo że w uroczystościach i obrzędach tych akademików widoczny był poganizm, a sam Pomponius zwał się pontifex maximus, cieszyli się wszyscy uznaniem, w szczególności Bessariona Greka w rzymskiej purpurze.

W to środowisko wszedł Kallimach, dając się od razu poznać jako utalentowany autor pięknych elegii i liryk, przypominających poetę aleksandryjskiego o tym samym nazwisku. Widać jednak było, że San Gemignańczyk idzie dalej niż całe towarzystwo. Nie wystarczyły mu idee Platona, chciał je wprowadzić w czyn i w tym czasie, gdy Pomponius bawił w Wenecji, zorganizował spisek na życie papieża Pawła II (1468). Po wykryciu spisku osadzono uczestników, jak ongiś sympatycznego rewolucjonistę rzymskiego Stefana Porcari, w Bastylii ówczesnego Rzymu, na zamku św. Anioła. Jedynie Kallimach, wraz z kilkoma najbardziej skompromitowanymi spiskowcami, zdołał umknąć na teren królestwa Neapolu, gdy innych jego kolegów, nawet gładkiego i układnego Platina i wydanego przez Wenecję Pomponiusa Letusa poddawano torturom w Castel Sant Angelo. W murach tego zamku rozlegały się jęki i wycia torturowanych literatów, którzy całą winę złożyli na karb „awanturnika, golca, gaduły, głupca, pijaka o słabej woli, pomylonego rozdawcy koron, otyłego brzuchacza, niecnego człowieka o niecnych urojeniach, pyszałka nie mającego uznania dla nikogo poza sobą" — oczywiście, aby się wybielić w oczach srogiej inkwizycji, gdy sprawca płynął już na wschód i zatrzymał się aż w Konstantynopolu. Nic dziwnego, że znienawidził Rzym z całej duszy i tylko nienawiść mogła mu podsunąć myśl współdziałania z najgroźniejszym wrogiem papiestwa, sułtanem. Stąd afera na wyspie Chios, którą chciał zająć dla sułtana przy pomocy floty tureckiej. Gdy się to przedsięwzięcie nie udało, musiał uciekać. Ale dokąd? Jeśli nie nad Ganges, Eufrat i Tygrys — to chyba do sąsiadującej przez Czarne Morze z Turkami Polski, której król był akurat w nienajlepszych stosunkach z kurią rzymską. Tu krewniak jego Theodaldi polecił go znanemu polskiemu humaniście. Grzegorzowi z Sanoka, który polubił zmizerowanego i ściganego przez papiestwo zbiega za jego piękne poezje i ukrył go w Dunajowie. Szczęśliwe dni dunajowskie przerwał grom z jasnego nieba. Oto na sejmie piotrkowskim 1470 upomniał się o niego legat papieski Aleksander biskup Forli, zażądał wydania go, dołączając do grzechów rzymskich nowy zarzut: współdziałanie z Turkiem. Ale protekcja Grzegorza z Sanoka, a przez niego Zbigniewa Oleśnickiego, wybawiła humanistę od stryczka papieskiego. Sam Kallimach napisał zabawną obronę, znany memoriał do Dersława z Rytwian, w którym wypiera się wszystkich zarzuconych mu win, ośmieszając żądanie papieża i dowodząc, że sejm, wydając go, podkopałby powagę papiestwa, które w ten sposób pogwałci prawo międzynarodowe i nie wyzyska sposobności okazania miłosierdzia chrześcijańskiego. Jeśli zaś chodzi o Polskę, wydanie go obrazi dumę i godność narodu polskiego i zakwestionuje suwerenność państwa. Zapewne nie z tych powodów, ale ze względów taktyczno-politycznych Kazimierz Jagiellończyk nie zgodził się na wydanie Kallimacha, przeciwnie, przyjął go nawet do swojej kancelarii. Przy ówczesnych licznych kontaktach z Włochami oddaje Kallimach duże usługi wciągając się do bieżących spraw Polski, konferuje z przejeżdżającymi posłami i ambasadorami weneckimi Jozafatem Barbaro, Pawłem Ognibene, Ambrożym Contarini, Ghislardim i innymi. Wśród polskich znajomości cenił sobie najwyżej znajomość z Piotrem Bnińskim, biskupem włocławskim, którego uwielbia na równi z Lorenzem Medici. Widocznie zyskał sobie Kallimach zaufanie króla, skoro od roku 1476 bierze udział w poselstwie do Rzymu i Wenecji, potem do Turcji, powtórnie do Rzymu i znów do Niemiec i Rzymu. Wśród pism Kallimacha, które powstały w tym czasie, na największą uwagę zasługuje memoriał z 1478 r., skierowany do Zbigniewa Oleśnickiego. Zaleca on tam przyjęcie propozycji przymierza z Turcją i wojnę z Węgrami. Oto co pisze: „Jedno mówię, co zawsze mówiłem: zbłądzono w pierwszej odpowiedzi na propozycję turecką (o przymierzu), która była tak wzniosła i tak wspaniała, żeśmy ją zaledwie znieść mogli. Jeśli zaś potem od niej odstąpiliśmy, względnie nie potrafiliśmy w jej duchu pertraktować, nie ma żadnej nadziei na poprawienie błędu i już tylko miecz w przyszłości będzie de-



Dom Buonacorsich u San Gimignano

cydował, a miecza łatwo dobywać, trudniej zaś go schować z honorem".

W literaturze historycznej naszej i obcej podkreślano często, że Kallimach był realistą w polityce. Jednak na podstawie analizy jego pism nie można się doszukać u naszego Włocha jakiejś ideologii politycznej. Po prostu wysługuje się Kazimierzowi Jagiellończykowi i dynastii jagiellońskiej, ponosi go ambicja i chęć rozkazywania, a chęć zdobycia pieniędzy za wszelką cenę doprowadzi go aż do tego, że w 1483 r. podejmie się służby dyplomatycznego agenta Wenecji.

Gdy w roku 1486 wraz z młodym sekretarzem, późniejszym podkanclerzym polskim, Maciejem Drzewickim, posłuje do Wenecji, nazwie go senat wenecki „devotissimo venetiano nostro", polecając gorąco nadsyłanie wiernych depesz „suo fedel avixo". Jak na posła polskiego to dziwne pożegnanie. Jeszcze w XV wieku była to zdrada państwa, a dopiero wiek XVI przyniósł przekupstwo w wysokim stopniu. Zresztą Kallimach był Włochem i zdrada jego nie jest tak wielka, jak zdrada Jana Tarnowskiego, pozostającego na żołdzie Habsburgów.

Widocznie Polacy coś podejrzewali, skoro Kallimach skarży się na swych wrogów, a nawet, dla uniknięcia ich ataków, chroni się do Wolborza. Jeszcze raz poderwą go wypadki na Węgrzech w roku 1490, dokąd ruszył z Olbrachtem, ale po tej nieudałej eskapadzie fala oburzenia na niego wzrośnie tak dalece, że musi uciekać do Wiednia i dopiero w lecie 1494 zjawia się w Toruniu, w roku następnym w Wilnie, a w r. 1496 przebywa w Krakowie, gdzie umiera 1 listopada.

Wśród ruchliwego życia, wśród pisarskiej i dyplomatycznej działalności wyrobił się Kallimach na polityka oddziaływającego coraz silniej (zwłaszcza za Olbrachta) na bieg spraw polskich. Jednak rola, jaką odegrał, dotyczy nie tyle dziedziny politycznej co kulturalnej, dzięki osobistemu oddziaływaniu na środowisko polskie, dzięki jego talentowi pisarskiemu i urokowi jego poezji. Ten dziwnie duży wpływ, który przetrwa jego życie, tłumaczy się jego niezwykłą ruchliwością, rozlicznymi stosunkami i rozległą korespondencją. Wyszedłszy ze środowiska humanistów rzymskich z początkowego zdrowego okresu wniósł do Polski i spopularyzował te wszystkie wartości, które sobie przyswoił nad Tybrem; przyczynił się ogromnie do wzrostu w Polsce nowej kultury, opanowującej cały ówczesny świat. Choć więc humanizmu do Polski nie przyniósł, bo go już tu zastał, to jednak jego ćwierćwiekowy pobyt przyczynił się do ugruntowania w Polsce humanizmu i sam stał się u nas jego symbolem. Odtąd ilość Polaków studiujących we Włoszech jeszcze bardziej wzrośnie i gdy kiedyś przybędzie do Polski młoda Włoszka Bona, będzie podziwiać nie tylko piękny zamek wawelski, ale także znajomość włoszczyzny i kultury włoskiej u Polaków. Szerokie kontakty Kallimacha z Włochami, z Lorenzo Medici, Marsiglio Ficino, Ugolino Verini i innymi spopularyzują Polskę na zewnątrz i ściągną do „włoskiego Krakowa" i innych miast polskich zaciekawionych Włochów, liczących na takie samo powodzenie, jakim się cieszył Kallimach.

Puścizna literacka Kallimacha jest dość obfita. Na pierwszym miejscu postawić należy jego poezje, zwłaszcza elegie i epigramaty. Według opinii ulubionego ucznia Kallimacha, Macieja Drzewickiego, poezja ta rozchodziła się wśród młodzieży, która długo będzie wspominać imię autora. Stąd się wzięła potem historia rzekomych i osławionych „Rad Kallimachowych".

Mniejszą wartość miały zaginiona gramatyka i rzecz o wymowie.

Śladem starożytnych Kallimach parał się i historią, ale tu, zwyczajem humanistów, okazał się słabym miłośnikiem prawdy historycznej — dbał jedynie o formę. W swej historii o Władysławie Warneńczyku nie dorasta pod względem ścisłości historycznej do naszego Długosza. Podobnie ma się rzecz z jego biografiami Grzegorza z Sanoka i kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Fantastyczna historia o Attyli nie może się nazywać dziełem historycznym, natomiast jego mowa (fikcyjna) do Innocentego VIII o wypowiedzeniu wojny Turkom oraz dziełko o usiłowaniach Wenecji, aby do wojny z Turkami wciągnąć Persów i Tatarów, zawierają wiele ciekawych wiadomości geograficznych i historycznych, które, rzecz jasna, trzeba skrupulatnie porównywać z innymi źródłami, by dojść do prawdy. Filozof z niego nietęgi. Nie ma on w tym kierunku ani inklinacji, ani zdolności. Wierzy w greckie fatum, a na cuda patrzy bardzo krytycznie. Interesuje go natomiast realny świat, ludzie i przyroda, tak jak ich widzi. Myśli po świecku, a nie jak teolog. Jest bardzo spostrzegawczy, chociaż brak wiadomości niestety nadrabia fantazją. Niemniej, dzięki tej własności, lepszy jest z niego — etnograf i geograf — niż historyk.

Zarzucano Kallimachowi niemoralność i przedajność. Wprawdzie przydługi jego pobyt w Wenecji w roku 1477 i w r. 1486, w okresie rozpaczliwej walki Rady Dziesięciu z sodomią (o którą i Pomponius Letus był podejrzany), troskliwa opieka nad młodymi chłopcami (jak np. nad Maciejem Drzewickim), fakt, że Kallimach nie żenił się, że wiersze jego do Fanni i do jej następczyni nie tchną takim żarem, na jaki by stać było Kallimacha-poetę — a wiersze do przyjaciół i młodych ludzi zdradzają dużo uwielbienia dla piękna ciała... wprawdzie to wszystko nasuwa wątpliwości — jednak nie mamy źródłowej podstawy, by go posądzić o tego rodzaju nadużycia. Natomiast drugi zarzut nie był zupełnie bezpodstawny. Sumienie miał równie szerokie jak wyobraźnię, a pieniądze lubił bardzo. Że ich uzbierał znaczną ilość w ciągu długiego swego żywota w Polsce, o tym świadczy jego testament.

Niewątpliwie, gdyby we Włoszech miał nawet możność uchować się przy życiu, to byłby tam tylko jednym z wielu w plejadzie sekretarzy, poetów i artystów, których pełno na każdym dworze w okresie Renesansu. W Polsce pogłębił się i zaprawił do szerszej działalności, która mu przyniosła to, co było pierwszym marzeniem każdego humanisty... sławę. Jedno tylko stracił. Dostawszy się na dwory bogatych „prałatów i baronów" Polski XV wieku i na dwór królewski, zatracił republikańskiego i rewolucyjnego ducha spod znaku Juliusa Pomponiusa Letusa. Ale na to, by takie wielkie i śmiałe idee przeszczepić na obcy grunt, trzeba było mieć nie tylko rozum, spryt, temperament i niepohamowaną żądzę władzy — ale także wielkie serce i wielki charakter.

Za to, co zrobił, za to, że przyczynił się do rozkwitu oryginalnej i rodzimej kultury humanistycznej w Polsce, że przeszczepił na polski grunt wiele nowych idei kultury nowoczesnych Włoch XVI wieku, Polska odpłaciła mu się po królewsku.

Józef Garbacik

TADEUSZ HOŁUJ

Organizacja masowej

Olbrzymia sala Teatru Wielkiego w Moskwie pełna jeszcze szumu i gwaru, mimo że w przygasającym świetle ciemnieje już złoto i czerwień pięciu pięter lóż. W głębi sceny zajmuje miejsca kombinowana orkiestra, rozpoczynająca radzieckim hymnem pokaz artystycznej twórczości samorodnej. W garderobach i za kulisami czeka niecierpliwie tysięczna armia artystów dzisiejszego wieczoru. Przybyli tu z najdalszych zakątków tego kraju, który wielu jeszcze ludziom wydaje się jedynie olbrzymią plamą na mapie świata. Przez cały rok w klubach fabrycznych, na scenach świetlic wiejskich, w Domach Kultury, Pałacach Pionierów i szkołach wszystkich republik Związku trwała gorączkowa praca eliminacyjna. Co roku bowiem odbywają się pokazy sztuki ludowej i zwyczaj ten utrzymał się nawet w latach wojny. — W roku 1942 odbył się pokaz ludowych zespołów armeńskich, w 1943 wszechzwiązkowy pokaz, w 1945 pokaz zespołów chóralnych i solistów.

Rok 1946. Rocznica Rewolucji Socjalistycznej. Jeszcze jedno jej zwycięstwo oglądam na deskach sceny, zwycięstwo kulturalne. Kolejarze z zapadłych stacyjek azjatyckich, górnicy uralscy, robotnice plantacyj herbaty, górale kaukascy, urzędnicy, kołchoźnicy i młodzież, tkaczki, starzy chłopi i dzieci robotnicze tańczą, śpiewają, grają w ludowych zespołach amatorskich. Wysoki poziom artystyczny każe mi wątpić: nie, to na pewno nie amatorzy, a przynajmniej soliści — to już z pewnością zawodowi artyści! W ruchu, melodii, rytmie i obrazie — im większy widzę artyzm, z tym większą niewiarą odnoszę się do pokazu. Ale kiedy otrzymuję przekonywające dowody, że to istotnie prości ludzie pracy z dalekich stepów, gór, miast i wsi, staję bezradny przed problemem: jak się to dzieje, czym to wytłumaczyć, że milionowe masy biorą nie tylko udział w życiu kulturalnym swych republik, ale są twórcami wielkich wartości kultury wszechzwiązkowej?

Oczywiście — i przed Rewolucją zamiłowanie do sztuki, szczególnie do tańca i muzyki, było przyrodzoną cechą narodów państwa rosyjskiego. Samorodna twórczość artystyczna miała jednak zupełnie inny charakter. Dramaturg Ostrowski pisał o ówczesnych miłośnikach sztuki: „Błahą sprawą jest dla niego, jak będzie grał, jak wypadnie przedstawienie — jego głowa zajęta jest wesołą myślą, że jutro pójdzie w swym kostiumie do fotografii i zrobi sobie portrety w rozmaitych wdzięcznych pozach", a Stanisławski mawiał, że tacy „miłośnicy sztuki lubią nie samą sztukę, ale siebie w sztuce".

W państwie carskim sztuka ludowa spełniała rolę rozrywki klas rządzących — w rodzaju cygańskich orkiestr i występów kabaretowych, nie była nieodzownym składnikiem wychowania kulturalnego narodu, a raczej narodów tego państwa. Państwo tłumiło a nie popierało rozwój narodowych kultur. Rewolucja socjalistyczna włączyła „sztukę amatorską" w wielki plan wychowania narodowego ludów Związku Radzieckiego, stwarzając odpowiednie warunki gospodarczo-polityczne do wyzwolenia ich sił twórczych. Praca kulturalno-artystyczna o zakresie masowym jest planowana przez czynniki państwowe tak samo, jak planowane jest całe życie kulturalne kraju. Ta praca wśród najszerszych mas przynosi wspaniałe wyniki. Są to fakty dobrze nam wszystkim znane i nie zaprzeczane przez nikogo.

Jakimi środkami przeprowadza państwo tę pracę i jak ją organizuje, przedstawi niniejszy szkic oparty na literaturze fachowej ZSRR oraz na obserwacjach poczynionych na miejscu. Najważniejszym czynnikiem organizacyjnym są w ZSRR Domy Kultury.

Domy Kultury spełniają dwie funkcje: są instytucjami pracy metodologicznej i programowo-wychowawczej oraz miejscem pracy terenowej.

ORGANIZACJA DOMÓW KULTURY

Organizacją pracy kulturalnej zajmuje się z ramienia państwa Komitet Spraw Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR. Wydział artystycz-

---

JERZY ANDRZEJEWSKI (2)

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

II

Willa Kosseckich stała w ładnym miejscu, na lewym brzegu Śreniawy. Tę nowoczesną dzielnicę, malowniczo rozbudowaną wśród łagodnego, falistego terenu, nazywano w odróżnieniu od starej, prawobrzeżnej części miasta Nowym Ostrowcem, albo po prostu Osiedlem. Ta ostatnia nazwa zwyciężyła w końcu i przyjęła się jako obowiązująca.

Osiedle było dość rozległe. Oddalone od rynku o kwadrans co najwyżej piechotą, zabudowywać się zaczęło w dobrych dopiero kilka lat po pierwszej wojnie światowej, w związku z podjętą wówczas inicjatywą wznoszenia zbiorowych domów spółdzielczych. Różne instytucje, państwowe i samorządowe, rozpoczęły w tym czasie na pustych do tej pory terenach za Śreniawą budowę tanich mieszkań dla swoich pracowników. Te na ogół tandetnie stawiane i szpetne dla oka budynki już przed wybuchem drugiej wojny wyglądały dość żałośnie i chyliły się ku przedwczesnej ruinie. Na szczęście nie one zadecydowały o wyglądzie Osiedla. Nagle odkryte, bo dotychczas służące tylko sztubakom za teren wagarów, Zaśreniawie poczęło się natychmiast szybko rozrastać, a gdy minął kryzys i nastały korzystniejsze warunki dla prywatnej inicjatywy, ruch budowlany nabrał większego jeszcze rozmachu i zatrzymany został dopiero przez wybuch nowej wojny. Wytworzył się w Ostrowcu pewnego rodzaju snobizm mieszkania na Osiedlu. Zamożniejsi mieszkańcy miasta, kupcy, fabrykanci, wyżsi urzędnicy i dobrze zarabiający przedstawiciele wolnych zawodów, jeden po drugim budowali na Osiedlu własne wille. Kto nie mógł sobie na własny dom pozwolić, a zarabiał nienajgorzej, również przenosił się na Osiedle. Tam w którejś z licznych willi czynszowych wynająć mógł mieszkanie droższe wprawdzie niż w mieście, za to nowoczesne i w otoczeniu, z którym porównać nie było można ciasnych, zakurzonych i brzydkich ulic właściwego Ostrowca. Przed samą wojną Ubezpieczalnia Społeczna zaczęła stawiać na Osiedlu nowy szpital. Projektowano również budowę ze składek publicznych nowoczesnego kościoła. W związku z planowym uprzemysłowieniem powiatu ostrowieckiego miasto wchodziło w swój dobry okres. Ale niewiele jeszcze znaków na ziemi zapowiadało, aby szybko zniknęły baraki dla bezdomnych, położone przy szosie do cementowni w Białej, i aby robotnicy mogli opuścić swoją dzielnicę wilgotnych suteryn i mrocznych mieszkań, położoną w najstarszej części miasta na tyłach Starego Rynku. Co prawda wspomniane baraki w okolicznościach, których niestety nikt nie zdołał przewidzieć, przestały nagle służyć bezdomnym, stając się częścią składową lokalnego obozu pracy, ale to już inna historia.

Kosseccy przenieśli się do swojej willi na rok zaledwie przed wybuchem wojny. Przedtem — to znaczy w ciągu trzech lat, które przeżyli w Ostrowcu po opuszczeniu Warszawy — mieszkali w śródmieściu, w reprezentacyjnej Alei Trzeciego Maja i w bliskim sąsiedztwie koszar, w których stacjonował głośny pułk ułanów ostrowieckich. Przeprowadzka do własnego domu była dość ważnym wydarzeniem w ich równym i raczej nieefektownym do tej pory życiu. Budowa willi kosztowała ich tyle akurat, ile wynosiły oszczędności Kosseckiego jeszcze z jego czasów adwokackich, kiedy zarabiał najpierw wolną praktyką, później — aż do otrzymania nominacji na sędziego w sądzie okręgowym w Ostrowcu — na dość intratnym stanowisku doradcy prawnego pewnej szeroko rozbudowanej instytucji spółdzielczej. Wprawdzie przeprowadzce tej nie towarzyszyły żadne zmiany istotniejsze, te chyba, że sędzia do sądu, a obaj jego synowie do gimnazjum musieli dłuższą niż dotąd odbywać drogę, jednak sam fakt posiadania tzw. własnego dachu nad głową, własnego ogródka, którego pielęgnacji pani Alicja poświęciła wiele serca i czasu, wreszcie poczucie stabilizacji życiowej, zawsze towarzyszące tego rodzaju sprawom — wszystko to razem w sposób dość wymowny wskazywało, że te wartości i ta solidność, które były podstawą życia obojga małżonków, znalazły w pewnym sensie pełne zadośćuczynienie.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Antoni Kossecki nie był człowiekiem pierwszej młodości. Wprawdzie i w życiu domowym i w swojej pracy zawodowej nie wyglądał na więcej niż na lat czterdzieści, w rzeczywistości czterdziestkę dobrze przekroczył i niewiele go dzieliło od pięćdziesiątki.

Był człowiekiem bez wybitnych zdolności i nie należał do gatunku szczęściarzy, których sam los zdaje się nieraz wyręczać w osiąganiu życiowej pomyślności. Nic nie przychodziło mu łatwo i gdy doszedł do pełni sił męskiego wieku, słusznie na podstawie swoich doświadczeń nie ufał karierom zbyt szybkim i olśniewającym, a do spryciarzy, torujących sobie drogę stosunkami, odnosił się z pogardliwym lekceważeniem. Był rzetelny, uparty i ambitny, i na tych cechach charakteru, jak na solidnych fundamentach, wspierała się jego powoli, lecz stale się wznosząca linia życiowa. Nie było w niej nagłych wzlotów, nie było również niespodziewanych załamań i upadków. Od ludzi, zwłaszcza bliskich, wymagał dużo, lecz tą samą miarą surowości i krytycyzmu oceniał samego siebie i swoje czyny. Tym, którzy go nie znali bliżej, mógł się wydawać nieco oschłym. Jednak przy bliższym zetknięciu zyskiwał i jeśli nie zawsze budził żywszą sympatię, ta bowiem często omija ludzi, których życie jest trudne i nieefektowne, do szacunku zmuszał nawet swoich przeciwników.

Urodził się w ostatnim dziesięcioleciu zeszłego stulecia, w drobnomieszczańskiej rodzinie, która od paru pokoleń związana była z cukrowniczym miasteczkiem na Kujawach. Był najmłodszym z licznego rodzeństwa i być może przykład starszych sióstr i braci, którzy ponad pracę w cukrowni i życie rodzinne nie mieli większych ambicji, zachęcił go do szukania innych wrażeń i osiągnięć. Dom rodzinny — wilgotną i mroczną kamieniczkę, która na swoich tyłach miała sad i ule — opuścił dość wcześnie, w trzynastym roku życia. Tak się złożyło, że gdy nadszedł czas zadecydowania o przyszłości ostatniego spośród siedmiorga dzieci już dorosłych lub dorastających, stary Kossecki, od czterdziestu lat magazynier cukrowni, przypomniał sobie, że jeden z jego towarzyszów dzieciństwa jest obecnie zamożnym kupcem w Warszawie. Tej to odległej znajomości zawdzięczając, Antoni znalazł się pewnego dnia w stolicy — a był właśnie rok 1905 — i został przyjęty na praktykanta do sklepu kolonialnego. Był to, jak się zdaje, pierwszy i ostatni zarazem w jego życiu wypadek, kiedy skorzystał z ułatwienia protekcji. W zamian za pracę otrzymał wyżywienie, ubranie i buty raz na rok, oraz składane łóżko we wnęce mizernego pokoiku, który na facjatce przy ulicy Chmielnej, nieopodal ówczesnego Dworca Wiedeńskiego, zajmowali trzej subiekci.

Życie na bruku warszawskim nie poszczędziło mu trudów. Zobowiązany przez subiektów do wykonywania posług domowych, zrywał się o świcie, zimą w głębokich jeszcze ciemnościach. Czyścił trzem panom buty i ubrania, przynosił z podwórka wodę, nastawiał herbatę, zamiatał i sprzątał, gdy tamci odprawiali za parawanem poranne ablucje, a już na szóstą pędzić musiał na ulicę Wielką, do sklepu, którego rozległy i skomplikowany mechanizm poznawał na razie od strony zajęć najniższych: posług i posyłek. Trzy razy w tygodniu siedział w sklepie do zamknięcia, gdzieś do późnej godziny jedenastej, w trzy dni pozostałe zwalniano go wcześniej, aby mógł chodzić na wieczorne kursy handlówki. Ale cóż to była za nauka! W dnie powszednie subiekci nie pozwalali mu palić lampy, gdy chciał się nocami uczyć. Pozostawały soboty. Na niedziele jeden z subiektów, cichy i na płuca chory pan Józef, jeździł do matki na Marymont, a dwaj pozostali, pan Edmund i pan Teoś, sprowadzali do siebie dziewczęta. Wnękę, w której się gnieździł Kossecki, zasłaniano brudnym prześcieradłem i poza tą osłoną Antoni, zatkawszy uszy pięściami, mógł swobodnie do późnej nocy ślęczeć nad książką.

W ten sposób przeszły mu trzy długie lata życia. Wyniósł z tych czasów szacunek dla pieniędzy, szacunek dla czasu i pogardliwy stosunek do łatwych uciech miłosnych. Po trzech latach poczuł się dość dojrzały, aby na własną rękę zacząć życie, którego ideał już teraz począł się w nim krystalizować. Akurat wtedy, gdy z powodu śmierci biednego pana Józefa miał szanse awansować na subiekta, porzucił sklep i wnękę na facjatce, a ponieważ miał zaoszczędzonych kilkanaście rubli, wynalazł tanią stancję na Powiślu u pewnej wdowy po urzędniku akcyzy i po paru

pracy kulturalnej w ZSRR

nej sztuki samorodnej (chudożestwiennoj samodiejatielnosti) przy tym Komitecie jest ośrodkiem kierownictwem dla całej ludowej, niezawodowej twórczości.

Instytucją naczelną jest Wszechzwiązkowy Dom Twórczości Ludowej im. Krupskiej w Moskwie. Zajmuje się on badaniem twórczości ludowej, warunków jej rozwoju, jej historii i gromadzeniem jej wytworów; planowaniem repertuaru muzycznego, scenicznego, choreograficznego; opracowywaniem metod pracy kulturalno-oświatowej dla całego Związku, instruowaniem i pomocą techniczną; wreszcie kierowaniem podobnymi ośrodkami w poszczególnych republikach, które, poprzez wojewódzkie i powiatowe Domy, świetlice i instytucje lokalne, prowadzą te same prace na różnych szczeblach administracyjnych.

Aby otrzymać odpowiednie materiały do pracy, Dom ogłasza konkursy dla kompozytorów, wydaje literaturę fachową, zbiory pieśni narodowych, utworów dramatycznych i muzycznych w nakładach od 10.000—100.000 egzemplarzy, organizuje kursy korespondencyjne dla działaczy terenowych (program takiego kursu odpowiada 80—200 godzinom nauki). Dzięki współpracy najwybitniejszych pedagogów i artystów zespoły otrzymują nie tylko pomoc fachową, ale i stałą podnietę do doskonalenia się, przez żywy kontakt z artystami zawodowymi.

Kierownictwo Domu spoczywa w rękach inspektora i dwóch zastępców: jednego do spraw administracyjno-gospodarczych (plus wydział ogólny i wydawniczo-kolporterski) i drugiego do spraw artystycznych (5 wydziałów).

Wydziały artystyczne: muzyczny, folkloru, tańca, repertuaru i sztuk plastycznych kierowane są przez doskonałych fachowców, przy czym wydział muzyczny i plastyczny prowadzi również szkolenie zaoczne, kursy korespondencyjne.

Na wydziale muzycznym pracują doradcy — specjaliści pieśni chóralnej, instrumentów narodowych, naukowcy-metodolodzy i specjaliści repertuaru muzycznego. Sektor metodologiczny opracowuje instrukcje, plany i programy zajęć z solistami i zespołami muzycznymi. Doradcy repertuaru pomagają w pracy nauczycielskiej, instruktorskiej i wydawniczej.

Wydział folkloru zbiera ludowe podania, legendy, baśnie, pieśni wszystkich narodów ZSRR, organizuje specjalne wyprawy badawcze.

Wydział tańca pracuje nad artystycznym wyszkoleniem zespołów amatorskich, nad kształceniem solistów, przygotowuje podręczniki z zakresu historii, teorii i praktyki w dziedzinie choreografii i kostiumologii.

Wydział repertuarowy prowadzi prace nad repertuarem dramatycznym i literackim, wydział sztuk plastycznych pomaga zespołom i jednostkom kształcącym się w rzeźbie czy malarstwie, organizuje wystawy prac amatorskich, ocenia prace, popularyzuje sztukę (profesjonalną), bada metody kształcenia artystycznego w całym państwie i kieruje nimi przy pomocy regionalnych ośrodków twórczości artystycznej.

PRACA W TERENIE

Sieć organizacyjna obejmuje wiele szczebli. Na szczeblu np. wielkiego miasta istnieją liczne placówki szerzenia kultury i sztuki. Większość obejmuje zorganizowanych ludzi pracy, związanych z miejscem zatrudnienia. Na przykład w Moskwie istnieją one przy większych zakładach fabrycznych i urzędach, przy pewnych grupach zawodowych (kolej, armia), są wreszcie dziecięce Domy Kultury.

Wszechzwiązkowy Dom Twórczości Ludowej, jako instytucja pracy teoretycznej, kieruje wszystkimi placówkami szerzenia kultury i umasowienia jej (z wyjątkiem placówek wyłącznie dziecięcych!). Co się tyczy jednak pracy praktycznej, wszystkie pracownicze Domy Kultury podlegają Wydziałowi Kulturalno-Oświatowemu przy komitecie centralnym Związków Zawodowych ZSRR.

Postaram się to wyjaśnić na przykładzie największego Pałacu Kultury, mieszczącego się przy zakładach przemysłu samochodowego im. Stalina (ZIS). Pałac ten, gdyż inaczej nie można nazwać tego olbrzymiego, nowoczesnego budynku, powstał w czwartym dziesiątku lat naszego wieku z inicjatywy samych robotników, którzy zaofiarowali swoją pracę „po fajerancie". Nic więc dziwnego, że kochają swój Dom, że dumni są z niego.

Otóż pracą tej placówki kieruje wspomniany wydział Związków Zawodowych przy teoretycznej i fachowej pomocy Domu Twórczości Ludowej. Fabryka opłaca koszty administracyjno-gospodarcze, związane z samym budynkiem i utrzymaniem go, z budżetu przyznanego na cele oświatowo-kulturalne przez ministerstwo, podczas gdy Związki Zawodowe opłacają siły fachowe, tj. pokrywają koszty pracy praktycznej.

Zarząd Domu, składający się z 17 osób, wybierany jest na konferencji delegatów robotniczych spośród załogi fabryki i pełni swe funkcje honorowo, dysponując płatnym aparatem technicznym i zawodowym. Członkowie zarządu opiekują się poszczególnymi referatami: artystycznym, wczasów, teatralno-imprezowym, dziecięcym, gospodarczym, pracy politycznej wśród mas itp.

Dom Kultury przy ZISie ma salę teatralną na 1200 miejsc oraz właściwy klub dla dorosłych, klub dziecięcy, trzy wielkie biblioteki, lektoria, salę koncertową, imprezową, sale wykładowe i pokoje szkolne. W jesieni po opracowaniu i zatwierdzeniu planu ogłasza się wpisy do poszczególnych sekcyj i kół, które prowadzi się według programu, aż do ukończenia wyznaczonej im pracy. Jeśli natomiast w czasie trwania pracy w jakimś zespole zgłoszą się nowi kandydaci, tworzy się z nich nowe koła, aby nie przerywać zaczętej pracy. — Oczywiście wszystkie bez wyjątku zajęcia są zupełnie bezpłatne i dostępne dla wszystkich. Młodzież stanowi 80% uczestników zajęć.

Trzeba podkreślić, że w Domach Kultury nie prowadzi się szkoły zawodowej dla robotników w sensie zajęć praktycznych. Gabinety techniczne w Domu Kultury mają na celu popularyzację specjalnej wiedzy technicznej wśród ogółu pracowników, zapoznawanie pracowników jednej dziedziny wytwórczości z zagadnieniami i sukcesami innych dziedzin tej gałęzi produkcji, do jakiej należy fabryka. Natomiast w dziale dla dzieci przewidziane są i prowadzone zajęcia praktyczne.

Teatr przy Domu Kultury nie ma własnego stałego zespołu; na jego scenie goszczą najwybitniejsze teatry moskiewskie, dając, w ramach ich własnego repertuaru, przedstawienia dla robotników oraz ludności mieszkającej w okolicy fabryki. Bilety, jeśli nie są bezpłatne — kosztują od 3—12 rubli. Jakiejś zorganizowanej akcji „chodzenia do teatru" nie ma, gdyż nie jest potrzebna. Teatry przepełnione są robotnikami, a Dom Kultury ułatwia jedynie nabywanie biletów, o które, przynajmniej w Moskwie, toczą się homeryckie boje.

Biblioteka, a właściwie trzy biblioteki przeznaczone są dla załogi i dla ogółu mieszkańców. Biblioteka Związków Zawodowych (65.000 tomów) przeznaczona jest wyłącznie dla pracowników ZISu i wydaje im książki do domu. Filia Biblioteki im. Lenina (40.000 tomów) udostępniona jest również szerszej publiczności, ale jedynie na miejscu, we wspaniale urządzonym lektorium. Biblioteka dziecięca (30.000 tomów) dostarcza lektury dzieciom robotniczym. Razem więc przy ZISie jest 135.000 książek.

Lektoria zaopatrzone są w wykazy najnowszych książek, poradniki dla samouków, uporządkowane według działów spisy najważniejszych artykułów w prasie periodycznej oraz ruchome wystawy książek.

Kształcenie artystyczne w muzyce, śpiewie, tańcu, sztukach plastycznych odbywa się indywidualnie lub zespołowo; kształcenie naukowe (dla dzieci) w laboratoriach i pracowniach technicznych. Najzdolniejszych kieruje Dom Kultury do odpowiednich szkół i instytutów. Wiele zespołów amatorskich przeszło na profesjonalizm, wielu wybitnych dziś artystów — zaczynało od koła amatorskiego w Domu Kultury.

Artystycznym wychowaniem dzieci zajmuje się metodologicznie specjalna instytucja, Centralny Dom Artystycznego Kształcenia Dzieci — wespół z Komsomołem i Ministerstwem Oświaty. Centralny Dom spełnia tu podobną rolę jak Wszechzwiązkowy Dom Twórczości Ludowej w szerzeniu kultury wśród dorosłych. Pałace Pionierów i praca wśród dzieci w klubach fabrycznych i Domach Kultury prowadzone są według wskazówek, instrukcyj i materiałów tej właśnie placówki, pozostającej w ścisłym związku z Akademią Nauk Pedagogicznych.

Centralny Dom Artystycznego Kształcenia Dzieci obchodził w tym roku 15-lecie swego istnienia. Jego rola w estetycznym wychowaniu dzieci, w pomocy udzielanej szkole i placówkom wychowaczym pozaszkolnym jest ogromna. Oto kilka zagadnień opracowanych przez tę placówkę: „Rola wychowania w rozwoju plastycznej twórczości dziecka", „Wychowawcza rola słowa artystycznego", „O dziecięcej twórczości plastycznej", „Rosyjska pieśń ludowa w wychowaniu muzycznym dzieci", „Psychologiczne zasady wychowania artystycznego" itp. Na sesji naukowej Akademii Nauk Pedagogicznych RFSRR po omówieniu zagadnienia plastycznego, muzycznego, teatralnego i literackiego kształcenia i jego roli w ogólnym wychowaniu dzieci, rezolucja stwierdziła: artystyczne kształcenie dzieci jest potężnym środkiem wychowawczym i powinno zająć odpowiednie miejsce w programie szkolnym; jest ono drogą do przełamania pedagogiki formalistycznej. Artystyczne kształcenie dzieci osiągnie swój cel, jeśli obejmie ogół dzieci, będzie prowadzone systematycznie i przez wysoko kwalifikowanych specjalistów, których przygotować musi Komitet Spraw Sztuki, Ministerstwo Oświaty i Akademia Nauk Pedagogicznych. Rezolucja domaga się utworzenia przy Akademii — Instytutu Artystycznego Kształcenia Dzieci i założenia specjalnego pisma poświęconego tym zagadnieniom.

„Sztuka — to emocjonalne poznawanie świata" — powiedział na owej sesji akademik Tiepłow. Sztuka jest więc doskonałym środkiem nauczania i wychowania.

Dzieci w Pałacach Pionierów i Domach Kultury bawią się i uczą jak chcą i czego chcą, jednak największym zainteresowaniem cieszą się właśnie koła artystyczne. Program ich obejmuje gimnastykę rytmiczną dla najmłodszych, taniec zespołowy, ludowy i klasyczny, taniec solistów, rysunek i malarstwo oraz rzeźbę, śpiew chóralny, solowy, muzykę orkiestralną i solową.

Kształcenie naukowe ma na celu wykrywanie talentów i kierowanie nimi, znalezienie właściwej drogi życiowej dla dziecka i spożytkowanie jego zdolności dla społeczeństwa w maksymalny sposób. Laboratoria i pracownie, sale modelarstwa, radiotechniki, fotografiki, kinotechni-

---

miesiącach uporczywego uczenia się dniem i nocą na tyle wyrównał dotychczasowe braki, iż w sposób nie wybitny wprawdzie, lecz zadowalający zdał egzamin do piątej gimnazjalnej. Dopiero po tym fakcie powiadomił rodzine o swoich życiowych zmianach. Ojciec od roku nie żył, zatem od matki otrzymał list z błogosławieństwem i dziesięć rubli. Były to pierwsze i ostatnie pieniądze, jakie dostał z domu. Czasem przez okazję przysyłano mu nieco prowiantów, miód, chleb domowy, masło. Przeważnie głodował.

Był niezgrabnym, o zbyt długich rękach i szorstkiej czuprynie chłopakiem w wyrośniętym i wyszarzałym mundurku. Nie umiał być lekkomyślnym. Nie umiał być miłym. Nie umiał się bawić. Nie miał przyjaciół. Nauka szła mu opornie. Jeśli się jednak raz czegoś nauczył, pamiętał to dobrze. Gdy się przygotowywał do matury, umarła matka. Miał do wyboru: natychmiast jechać na pogrzeb lub jeszcze raz przerobić całą trygonometrię, w której nie był zbyt mocny. Wybrał trygonometrię. Rodzinnego miasteczka nigdy więcej nie odwiedził. Nie interesował go los sióstr i braci. Ich, już pożenionych i dzieciatych, nie obchodził los jego. Poszedł swoją własną, odrębną drogą i jeśli wracał kiedykolwiek do dzieciństwa i wczesnej młodości, to po to tylko, aby ocenić dystans, jaki go od tych odległych lat dzielił. Dzięki jego rozmiarom mógł potwierdzać w sobie i umacniać wiarę we własne możliwości i w przyszłość.

Już w szóstej gimnazjalnej postanowił zostać wybitnym adwokatem. Od zamiaru tego nie odstąpił, chociaż i w chwili zapisywania się na prawo i w ciągu studiów nie zdradzał żadnych wybitniejszych, a nawet przeciętnych uzdolnień w tym kierunku. Pamięć miał średnią i oporną, wymowę raczej złą, lecz zdając sobie z tych niedociągnięć sprawę, wkładał wiele mozolnej pracy w przezwyciężenie wrodzonych braków. Ostatecznie po kilkunastu latach, gdy niejeden z jego uniwersyteckich kolegów osiągnął sławę lub wysokie państwowe stanowisko, Kossecki doszedł do wyników, które zjednały mu opinię solidnego adwokata, a później równie uczciwego i na zaufanie i szacunek zasługującego sędziego. Tę opinię cenił wysoko. Należał do rzadkiego gatunku ludzi, którzy z własnych trudności i osobistych braków uczą się oceniania wartości istotnych. Niejeden z jego ambicjami uwikłałby się w końcu w rozgoryczeniu i zawiści. Kosseckiemu obce były i gorycz i zawiść.

W czasie studiów borykał się z dużymi trudnościami materialnymi. Nie pozbył się ich zresztą i później, gdy zdał magisterium. Trwała już wtedy pierwsza wojna światowa, lecz przemiany, które rodziły się i dojrzewały wśród bitew, nie zaznaczyły się poważniejszym śladem w życiu Kosseckiego. Zyskawszy zaufanie jednego ze znanych warszawskich adwokatów, znalazł w jego kancelarii zatrudnienie i w ten sposób na obcowaniu z aktami oraz poznawaniu sądowych kuluarów zeszły mu lata następne aż do chwili, gdy w okresie wyprawy kijowskiej powołany został do wojska. Odbył całą kampanię wraz z przygodnymi towarzyszami dzieląc jej zmienne koleje. Był lekko ranny, z szeregowca awansował na starszego żołnierza, otrzymał nawet jakieś pomniejsze odznaczenie i zwolniony z wojska z początkiem roku 21-ego, wrócił do swojej aplikantury. Niebawem ten krótki epizod przestał znaczyć w jego życiu. Usunęły go w zapomnienie inne wydarzenia, tym razem osobiste i decydujące.

Zerwał na koniec z aplikanturą i założył skromną, lecz własną kancelarię, co było faktem równie doniosłym, jak w swoim czasie decyzja porzucenia sklepu kolonialnego. W tym samym również czasie — miał podówczas trzydzieści jeden lat — założył rodzinę, żeniąc się rozsądnie i praktycznie z niejaką panną Alicją Skorodyńską. Była to młoda dziewczyna, repatriantka z Ukrainy, gdzie rodzice jej, kresowi szlagoni, mieli drobny mająteczek w okolicach Białej Cerkwi. Ponieważ ojca straciła jeszcze w czasie wojny, a z matką, ofiarą tyfusu, rozstała się na zawsze na pogranicznym punkcie repatriacyjnym, w Warszawie znalazła się zupełnie samotna i bez środków do życia. W małżeństwo z początkującym adwokacikiem, starszym od niej o dziesięć blisko lat i mało atrakcyjnym jako mężczyzna, nie włożyła większego uczucia. Wniosła jednak w posagu, zdrowe ciało, panieńską urodę, umysłowość przeciętną lecz popartą dobrą wolą, charakter zgodny i tę jeszcze odrobinę rezygnacji, która istotom nieporadnym i trochę przez los pokrzywdzonym ułatwia przystosowanie się do życia. Marzyła wprawdzie o losie bardziej efektownym, lecz gdy przypadł jej umiarkowany — przyjęła go za własny. Zresztą przyznać trzeba, że i najbliższa przyszłość i lata dalsze nie przyniosły jej rozczarowań. Należała do gatunku kobiet domowych, więc życie rodzinne, uregulowane i bez wstrząsów, zabierało jej dość czasu i starań, aby wśród codziennych drobnych kłopotów i drobnych radości uodpornić mogła umysł i serce na pokusy i pragnienia wykraczające poza te dary życia, które się stały jej udziałem. Mimo różnych trudności materialnych nie zaznała biedy. Nie zaznała również do pewnego momentu dotkliwszych cierpień. Ze strony męża otrzymywała więcej dowodów przywiązania, niż mogła się ich była spodziewać. Urodziła dwóch zdrowych synów, mąż jej nie zdradzał, doczekała się tytułu sędziny i związanej z tym tytułem sytuacji towarzyskiej, miała służącą i futro, na koniec własną willę... czegoż, na Boga, chcieć mogła jeszcze?

Ale to było.

Ilekroć w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło się pani Alicji odbywać tak dobrze znaną drogę z miasta na Osiedle, zawsze ją ogarniały sprzeczne i bardzo powikłane uczucia. Aż któregoś dnia, przystanąwszy zmęczona na moście — było już przedwiośnie i dzień słoneczny o łagodnym, odurzającym powietrzu — nagle, dla siebie samej niespodziewanie, uświadomiła sobie, że chyba nigdy już nie będzie jej dane wracać do domu wśród takiego spokoju, jaki towarzyszył jej powrotom dawniej.

Nie spędziła na Osiedlu wielu lat życia, przeciwnie — jeden zaledwie krótki rok. Ale czas poprzedzający katastrofy liczy się nie ilością miesięcy, lecz rozległą miarą późniejszych cierpień i strat. Więc i pani Alicja we wspomnieniach przede wszystkim zżyła się z Osiedlem. Miała ostatecznie pięć prawie lat czasu, aby tamten króciutki okres sprzed samej wojny nasycić głębokim zadomowieniem.

Tak się złożyło, że przymusowa ucieczka sędziego zbiegła się z akcją wysiedlania Polaków z Osiedla. Pani Alicja została w Ostrowcu tylko ze starą Rozalią, służącą jeszcze z czasów warszawskich i z młodszym synem, Aleksandrem, którego, zapewne z niewygasłego sentymentu do swoich rodzinnych stron, nazwała z rosyjska Alkiem. To zdrobnienie przyjęło się w całej rodzinie. Natomiast starszego z chłopców, szesnastoletniego podówczas Andrzeja, ze względu na jego bezpieczeństwo ojciec zabrał ze sobą do Warszawy.

Wysiedlanie odbywało się w tempie błyskawicznym. Zostawiono mieszkańcom trzy zaledwie godziny na spakowanie się, pozwalając zabierać ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy osobiste. Przy każdym prawie powrocie do domu, jak gdyby ukryty wśród znanego otoczenia i niecierpliwie oczekujący wywołania, przypominał się pani Alicji ów dzień późnej jesieni, kiedy musiała opuścić swoją willę. Zmierzchało, mżył deszcz i gęsta, wilgotna mgła zapadała wraz z mrokiem. Na rozkaz Niemców wille były oświetlone. Ze wszystkich stron niosły się krzyki żandarmów i żołnierzy przeprowadzających akcję. Wśród tych chrapliwych głosów i przy poświacie, która z jasnych i pustoszejących willi sączyła się poprzez mgłę, ciemne gromadki ludzi uginających się pod tobołami schodziły w milczeniu ku Śreniawie. Już zupełnie w dole i w ciemnościach zanosiło się cienkim płaczem dziecko.

Przez kilka pierwszych miesięcy mieszkała pani Alicja kątem u znajomych. W tym właśnie czasie przyszła wiadomość o dość przypadkowym aresztowaniu Antoniego. Andrzej nie wrócił. Zdążył się już w Warszawie zadomowić. Zarabiał i podobno się uczył. Potem wywieziono Antoniego do Gross Rosen. Ponieważ ze zrozumiałych względów bał się zdradzić ze swoim prawdziwym, skompromitowanym nazwiskiem, nie otrzymywała od niego wiadomości bezpośrednich. Szły przez Andrzeja, skąpe i rzadkie. Żył. Jeszcze potem — czas nie upłynął długi, lecz dla tych, których dręczył, wydawał się latami — w związku z utworzeniem w Ostrowcu ghetta przydzielono Kosseckiej mieszkanie pożydowskie, dzięki czemu ze ostatnie oszczędności mogła nabyć warsztat tkacki i zacząć zarabiać na skromne utrzymanie. Tak się w tych czasach działo, że korzyść jednych ludzi zawsze prawie dokonywała się kosztem czyichś strat. Bogactwo wzrastało na nędzy, uprzywilejowanie na krzywdzie, a życie, samo życie nawet w swojej przypadkowości wspierało się, niepewne i od trzciny kruchsze, na nieznanych śmierciach.

(c. d. n.)

ki, sale zabawy konstrukcyjnej pozostają pod kierownictwem fachowców; dzieci przychodzą tu w ściśle określonych dniach tygodnia (zmienne zespoły), wybierają sobie dowolnie rodzaj zajęć — od warsztatu obróbki metali — do baletu. Artystyczne i specjalne związki zawodowe kładą olbrzymi nacisk na opiekę nad samorodnymi talentami, delegują do pracy nad nimi najlepszych fachowców. W Pałacu Pioniera w Leningradzie na przykład, obok pracy w wielu małych zespołach, prowadzi się równolegle pracę masową dla tysięcy dzieci równocześnie, w specjalnym skrzydle Pałacu, przeznaczonym na teatr, koncerty, imprezy artystyczne, wystawy i pogadanki. Żywy i barwny program ściąga tam tysiące dzieci.

Charakterystycznym dla ZSRR jest fakt, że w tych ośrodkach kultury wszystko służy wychowaniu, nie pustej zabawie czy rozrywce.

„Człowiek stworzony jest ku lepszemu" — mówi Gorkij w „Na dnie". Istotny, a może jedyny sens socjalizmu widzę właśnie w Domach Kultury, które podnoszą człowieka ku lepszemu, które, przeznaczone tylko dla ludzi pracy, zapewniają tym ludziom nieograniczony rozwój wszystkich sił żywotnych, zdolności i talentów. To socjalizm umożliwił nie tylko wszystkim Rosjanom, ale wszystkim narodom Związku pełny rozwój kulturalny i dlatego, jeśli Gruzin czy Białorusin mówi o przywiązaniu do swej narodowej kultury — mówi jednocześnie o przywiązaniu do socjalistycznej ojczyzny, do Związku Radzieckiego. Dla prostego człowieka w ZSRR sprawy te są oczywiste i nie dadzą się oddzielić jedne od drugich. Może w tym właśnie tkwi tajemnica postawy moralnej narodów ZSRR w czasie ostatniej wojny.

Jakie praktyczne wnioski można by wysnuć z radzieckiej organizacji masowej pracy kulturalnej?

W Polsce panuje pod tym względem niebywały chaos i wielokierunkowość. Kto zajmuje się u nas masową pracą kulturalną? TUR, TUL, Związki Zawodowe, Ministerstwo Kultury, Ministerstwo Propagandy, Ministerstwo Oświaty, organizacje młodzieżowe, odpowiednie resorty poszczególnych przemysłów, rozmaite placówki naukowe — a w końcu nikt. Nasze Domy Kultury — puste, nasze świetlice — są miejscem niewybrednych rozrywek, „potańcówek", rewij z programem znanym na pamięć: kuglarz, pseudotaniec marynarzy, jak najgłupszy skecz i beznadziejna orkiestra, no i oczywiście pijaństwo. I to nazywa się jeszcze dobrym programem. Nuda i pustka wieje z tych miejsc, które mają służyć pracy kulturalnej. Wszystkie wymienione instytucje mają pretensje do organizowania pracy świetlicowej, każda na swoją rękę stara się nic nie robić, nawet nie ma pojęcia, jak i co robić w zajętych na cele kulturalne lokalach i domach. Nawet pomiędzy TURem a wydziałami kulturalno-oświatowymi przy OKZZ nie ma realnej współpracy; artystyczne związki zawodowe nie zdradzają chęci pracy kulturalnej wśród mas.

Upowszechnienie kultury jest u nas zupełną fikcją. Mizerne, cząstkowe próby rozwiązania tego problemu niczego w rezultacie nie rozwiązują. Kultura danego społeczeństwa jest jego nieśmiertelną wartością. Wielkość narodu powstaje przez wychowanie p o w s z e c h n e, przez p o w s z e c h n ą kulturę. — Szeroka praca kulturalna musi być jednak centralnie planowana i to nie przez czynniki biurokratyczne, ale przez wybitnych znawców, wybitnych naukowców i artystów; upowszechnienie kultury musi być oparte na takim samym planie, jak narodowy plan gospodarczy. Dostęp do wiedzy i kultury trzeba zapewnić praktycznie wszystkim ludziom pracy. Pełny rozwój wszystkich sił twórczych narodu jest pierwszą potrzebą naszego państwa. Na wychowanie, kształcenie i rozwijanie tych sił nie może zabraknąć środków. Nadchodzi bowiem czas, że o losach świata i narodu zadecydują nie liczba mieszkańców, wielkość terytorium, ilość wojska i tradycja — ale ludzki talent.

Tadeusz Hołuj

Rozmowa z Gustawem Morcinkiem

B: Bardzo się cieszę, że mogę z panem rozmawiać. Powiem szczerze, że u nas we Lwowie rozeszła się wieść o pańskiej śmierci. Było to w r. 1944, kiedy wojska sowieckie wkroczyły do Lwowa. Napisałem wtedy artykuł poświęcony pańskiej pamięci, którego na szczęście nie ogłosiłem. Zawsze bowiem miałem nadzieję, że ta wiadomość okaże się nieprawdziwa.

M: Wdzięczny panu jestem za te serdeczne słowa. To, co mi pan powiedział o mojej rzekomej śmierci, wcale mnie nie zaskoczyło, ponieważ umarłem co najmniej siedem razy w obozach koncentracyjnych i zdarzył się nawet taki zabawny wypadek, że Zofia Kossak ogłosiła w podziemnej prasie warszawskiej nekrolog, a jeden z moich przyjaciół dał na mszę żałobną za spokój mej duszy.

B: Straty, jakie ponieśliśmy w naszej literaturze, są tak potworne, że każdy piszący człowiek jest niezwykle cenny. Zwłaszcza tu, na Śląsku, odczuwamy brak ludzi pióra. Przecież tu powstaje nowy kraj, kraj na pewno inny niż ten, który pan widział przed siedmiu laty.

M: Zdaję sobie sprawę, że Śląsk obecny, to nie ten sam Śląsk, w którym wyrosłem i który przed siedmiu laty opuściłem. Przede wszystkim rozrósł się i — co mnie najbardziej cieszy — obejmuje już c a ł y Ś l ą s k poza skrawkiem ziemi za Olzą, gdzie się urodziłem. Zdaję sobie również sprawę z tego, że Śląsk ma po wojnie większą jeszcze wartość aniżeli przed wojną. Uważam też, że napływ na Śląsk nowych ludzi z zachodu i wschodu był nam potrzebny. Po krótszym czy dłuższym okresie asymilacji wytworzy się tu jedno wielkie społeczeństwo polskie, które wyzbędzie się dawnych urazów dzielnicowych.

B: Czy uważa pan, że proces przemieszania przejdzie bezboleśnie?

M: Tak! Niezrozumienie wzajemne i nieporozumienia będą istniały zawsze, ale wiem już z doświadczenia, że ktokolwiek przybywa na Śląsk z innych dzielnic Polski i, wyzbywszy się uprzedzeń dzielnicowych, stara się nas nieufnych i twardych Ślązaków zrozumieć — udaje mu się to w zupełności i ci właśnie, tak zwani przybysze, stają się po krótkim czasie najszczerszymi przyjaciółmi i, co dziwniejsze, „ślązaczą się" zupełnie. Ten sam proces przewiduję w dobie obecnej. Nie obejdzie się bez przykrych tarć, ale jestem przekonany, że ci wszyscy „przybysze" staną się po pewnym okresie czasu takimi samymi Ślązakami jak ja.

B: A więc jeszcze jeden temat literacki? Czy tylko ten jeden? Ileż problemów wyłoni się w związku z tym, że tutejszy górnik będzie gospodarzem u siebie i z repolonizacją tego kraju. Następnie niezwykle ważne, tak u pana znane, zagadnienie pracy w nowych warunkach.

M: Bezsprzecznie. Śląsk będzie zawsze najbardziej żywym i interesującym tematem literackim, gdyż wszystkie te zagadnienia, jak scalenie Śląska, repolonizacja i — jeżeli tak można powiedzieć — wartość osobowa i społeczna górnika śląskiego są zjawiskiem prawie nieznanym w literaturze polskiej, o czym wiedział i pisał także Żeromski w „Snobizmie i postępie". Uważam, że w przyszłości Śląskiem zainteresuje się nie tylko szary człowiek, szukający pracy, lecz zajmą się nim przede wszystkim artyści. Śląsk jest wciąż jeszcze egzotycznym, a mówiąc łagodniej — „nieznanym krajem", jak to określiła Zofia Kossak, i Śląsk wciąż jeszcze czeka na swych odkrywców. Dotychczas pojęcie Śląska kojarzyło się u nie-Ślązaka z kominami fabrycznymi kopalni i trzema powstaniami, a jego wartości moralnych prawie się nie znało. Jeżeli chodzi o mnie, usiłowałem to robić, mówiąc inaczej, usiłowałem „odkryć" Śląsk Polsce, lecz, że sam jestem Ślązakiem, mogło to czasem wyglądać na przeczulony patriotyzm lokalny. Mnie, jako Ślązakowi, zależy bardzo na tym, by przyszli do nas pisarze, artyści, malarze, muzycy i by czerpali z tego nieprzebranego skarbca odrębnej, a jednak tak bardzo polskiej kultury chłopskiej i robotniczej.



Gustaw Morcinek

B: Więc teraz napisze pan chyba coś, co będzie pana największym osiągnięciem literackim, co będzie szczytem osiągnięć pańskiego Śląska. A czy pan już coś stworzył?

M: Wyszedłszy z obozu, we Francji i w Rzymie napisałem trzy książki, których tematem był obóz. Obecnie zaś, po powrocie na Śląsk, pragnąłbym napisać przynajmniej jeszcze jedną książkę, już inną, pozbawioną zupełnie tamtych ponurych wspomnień. Chodzi mi dzisiaj o taką książkę, o jakiej mówił mi swego czasu mój przyjaciel Hulka-Laskowski. Gdy się go zapytałem, jaką książkę uważa za najlepszą, odpowiedział: Ta książka jest najlepsza, przy której czytaniu człowiek się prostuje... Marzę więc dzisiaj o napisaniu takiej książki, przy której człowiek współczesny będzie się mógł wyprostować. Mam dziś entuzjazm i wiarę dlatego, że mogę porównać to, co widzę w Polsce, z tym, co widziałem na obczyźnie. Człowiek w Polsce ma przede wszystkim wiarę w siebie, w przyszłość. Może nawet nie zdaje sobie z niej sprawy, gdyż przytłacza go szara codzienność i troska o chleb. Ja jednak wiem, że ta wiara porywa mnie i napełnia realnym optymizmem. Pisząc zaś książkę, chcę pisać przede wszystkim o owej niedostrzegalnej, a jednak tak wielkiej wierze, by nią zarazić ludzi małej wiary.

B: Jaka szkoda, że wielu pisarzy, na których liczyliśmy, nie wróciło i nie chce z nami dzielić naszej doli i niedoli.

M: Wróciłem do Polski, bo chciałem wrócić. Dalszy pobyt na tak zwanej emigracji — emigrantem nie byłem i za takiego się nie miałem — uważałem za wegetację, która działa destruktywnie na człowieka. Poza tym każdy z tej „cierpiącej emigracji" odczuwa wyrzut sumienia. Kiedy w Polsce ludzie mozolą się nad tym, aby odbudować, co zniszczyła wojna, i tworzą nowe wartości moralne i społeczne, on tkwi bezustannie we względnym dobrobycie, nie przyczyniając się niczym do odbudowy kraju. Kto przeżywa tego rodzaju uczucia — wraca, by się nie wstydzić.

B: Taka postawa jest słuszna. Teraz przystąpi pan z nami do pracy. Ciekaw jestem, co pan zamierza na najbliższą przyszłość?

M: Mam plan nowej książki, której tematem będzie życie na emigracji. Tytuł już mam i mogę zdradzić — „Zagubione klucze". Oprócz tego chciałbym dokończyć rozpoczętą przed kilkunastu laty powieść o Ondraszku. Ondraszek — to nasz śląski Janosik. Jeżeli starczy mi sił i życia, pragnąłbym napisać książkę o n o w y m Śląsku.

Jan Brzoza

Listy spod morwy

Morcinek ujął swoje opowiadania *) w formę listów do jakiejś bliskiej kobiety — siostry, żony, przyjaciółki — nie wiadomo, pisanych w miejscowości Biviers u podnóża Alp, z końcem kwietnia 1945 r., na krótko po uwolnieniu z obozu przez Amerykanów. Ta literacka forma, ujmująca w refleksyjną ramę surowe przeżycie rzeczywistości obozowej, nie wyszła — jak sądzę — na dobre tematowi. Jakkolwiek bowiem daje pewną perspektywę świeżym jeszcze, ale szybko popielejącym ogniom najcięższej próby życiowej, to jednak jest równocześnie perspektywą zbyt krótką, by mogła dać autorowi możność posegregowania i artystycznego zbudowania materiału wspomnień. Cisną się one w wyobraźni na oślep, nie podatowane, nie uszeregowane w wynikające z siebie wątki i w sumie, jak na zdobycz pięciu lat życia pod tak okropnym ciśnieniem, dają właściwie rezultat nikły. Przy tym owym lirycznym apostrofom do ukochanej Władki nadaje autor formę trochę przestarzałego poetyzowania; tak, na dobrą sprawę, pisało się „wrażenia z podróży" 50 lat temu do „Tygodnika Ilustrowanego". Pełno tam zachwytów nad cudami przyrody (które oczywiście musiały się autorowi narzucać w porównaniu z przebytą makabrą) — od których bezpośrednio przechodzi autor przy pomocy jakiegoś jednego, zbyt literackiego i przypadkowego chwytu — do sceny z łamaniem kości, jakby mimochodem. Może to miało posłużyć mocniejszemu wydobyciu dna nędzy ludzkiej, ale, gdyby nie szlachetna postawa pisarska, którą się jednak wyczuwa, czyniłoby to raczej niesmaczne wrażenie. Natomiast dalsze od nagłówka każdego listu ustępy pamiętnika, kiedy się zapomina o jego wystudiowanej formie — robią wrażenie mocniejsze i przejmujące swoją oczywistą prawdą, mają wartość dokumentu pisanego przez człowieka, który umie odczuwać i myśleć.

Ikonografia nędzy obozowej nie wnosi zasadniczo elementów, których byśmy już z jakiejś relacji publicystycznej nie znali: jeszcze jedna forma tortur, jeszcze jedna metoda fizycznego i moralnego upodlania więźniów, jeszcze jeden obrazek potworności — jak np. kąpiel świeżego transportu „zugangów" wyranżerowanych z innego obozu, umierających z wycieńczenia i chorób, a potem ładowanie ich jak drewna na furgony! Obraz głowy bezimiennego Żyda, z wyłupanym i zwisającym na żyłce okiem, działa jak ukłucie sumienia, ale przemija w pamięci bez innego śladu prócz zapamiętanego oglądu, gdyż operowanie opisem niezróżnicowanej masy mija się z celem beletrystycznego dzieła. Wydobycie losu indywidualnego, choćby za cenę nieujęcia wszystkiego, zrezygnowania z syntezy — powinno być zamiarem autora, jeśli ma ambicję wyjść poza ogólniki epickiego opisu i dydaktyki. Tezę tę ilustruje np. inny fragment, szczęśliwszy, szkicujący na połowie strony postać Ślązaka, który — poinformowany potajemnie o czekającym go nazajutrz wyroku śmierci — przychodzi się pożegnać z Morcinkiem. Spokój, rezygnacja ostateczna i niczym nie zmącona pogoda tego świadomego swoich zadań człowieka — czyni wrażenie większej prawdy i sekretniejszego podpatrzenia niż fortissimo jakiegokolwiek opisu czysto zewnętrznego.

W zakresie wymienionych treści swego tematu daje Morcinek kilka przyczynków do psychologii masy, w tak hermetycznie zamkniętych społeczeństwach jak obozy. Te spostrzeżenia nie są może rewelacyjne, ale niewątpliwie cenne.

Otóż życie obozowe znosili lepiej Rosjanie, Polacy, Jugosłowianie niż Franzuci, Włosi i Grecy. Nie znajdujemy motywacji tego spostrzeżenia, ale jego wytłumaczenie jest nietrudne, choć może mieć dwa aspekty. Albo nędzę, trudy i mękę znoszą lepiej jednostki należące do narodu żyjącego w ostrzejszym klimacie, albo — co jest ponętniejsze dla wnioskującego — narody starsze kulturalnie, a raczej biologicznie, odznaczają się mniejszą odpornością psychiczną, tak ważną dla woli przetrwania. Ten wniosek jest chyba poprawny w ramach wiadomości z antropologii.

Więźniów-Niemców, rekrutujących się przeważnie z komunistów, ocenia Morcinek jako element ludzki zdecydowanie ujemnie. Grupa ta, wewnętrznie solidarna, z biegiem lat zatraciła całkowicie nawet wspomnienie swego waloru ideologicznego i stała się podatnym narzędziem w rękach władców obozu. Prawa obozu są twarde, miłość bliźniego rzadko wkracza tam w stosunki międzyludzkie i rzadko rozładowuje atmosferę wrogości i chęci utrzymania życia za wszelką cenę. Wypadki ludożerstwa (jak w zagłodzonym transporcie kolejowym) zdają się najdobitniej o tym świadczyć. Może nie było to ludożerstwo połączone z mordem, ale ohydne żywienie się mięsem trupów. Życie, im lichszy i cieńszy wątek pozostawi się dla jego już tylko wegetatywnej egzystencji, tym bardziej kurczowo czepia się resztek nadziei. Jest to ciągliwa jak guma plazma, akomodująca się do wszelkich warunków. Gdzie w innych okolicznościach dobrowolny wybór śmierci byłby normalnym gestem honoru i obrażonej dumy człowieka, tam w egzystencji rozpuszczonej niemal do „cienkości" wody — wegetacja staje się najwyższym celem i prawem. Na tym tle świetniej odbijają się sporadyczne wypadki świadomej ofiary — jak poświęcenie księdza Kolbego, który idzie na śmierć głodową za współwięźnia. (Realizacja dość ryzykownej na oko koncepcji W. Żukrowskiego w „Pozdrowieniu anielskim").

Zupełne zwyrodnienie reprezentują oczywiście SS-mani. Poza czerpaniem uciechy z widoku zadawanych mąk, co jest notorycznym tematem, gwałcenie kobiet, które zaraz potem mają być własnoręcznie przez nich zabijane — jest chyba najpotworniejszą obelgą rzuconą naturze! To połączenie aktu miłości i nienawiści w jeden zamknięty krąg, bez widocznego przejścia, uczuciowej przegrody, jest najtajemniejszą zagadką ambiwalencji zjawisk seksualnych w zwyrodniałej formie. Ale to zwyrodnienie jakież światło rzuca na motorykę uczuć ludzkich, zwłaszcza, gdy przybiera ono postać masową, staje się kwestią nie jednostkowej anomalii, ale zbiorowego przykładu.

Garść tych spostrzeżeń, które starałem się wyprowadzić z luźnie rzucanych obrazów, zamyka chyba krąg obserwacji autora. Strona stylistyczna opowiadania pozostawia niestety to i owo do życzenia. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę kilka takich nieoczekiwanych potknięć:

Str. 20: „...założyłem haki **od wewnątrz**" (2 prefiksy! — ma być od wnętrza); str. 7: „...bo obydwaj **zdawają** się być milszymi" (ma być: zdają się...); str. 50: „...Amerykanie każdemu **podawają**" (ma być: podają); str. 25: „Milcz, **dziadzie** przeklęty" (ma być: dziadu, chyba że to jest gwara, której nie znam); str. 61: „Dreszcz **oblatał** ciało" (ma być: oblatywał); str. 60: „W obozie **po pierwszy raz** spotkałem się..." (po raz pierwszy!).

Na tej podstawie, w najlepszym razie, mogę przypuszczać, że autor zabrał się do pisania nim jeszcze powrócił do pożądanej „kondycji" literackiej i nim odświeżył swe poczucie językowe po współżyciu ze środowiskiem o mowie bardzo spaczonej. Należy się więc spodziewać, że — choćby po latach — powróci do tematyki przeżyć obozowych, by nadać im pełniejszy i artystycznie doskonały wyraz.

Marian Promiński

*) **Gustaw Morcinek**. Listy spod morwy. Wspomnienia z Sachsenhausen i Dachau. Katowice, „Literatura Polska", 1946; str. 95 i 1 nl.

Szkoła krytyków

DYSKUSJA O PROZIE

Odbytą w zespole „Kuźnicy" dyskusję o prozie powinien przeczytać każdy. A już szczególnie młody adept krytyki. Poruszono w niej bowiem zagadnienia należące do najważniejszych w dzisiejszej problematyce literackiej. Wspomnianej rozmowy nie będę streszczał. Odsyłam czytelnika do numeru „Kuźnicy" z 7 stycznia.

Chciałbym jedynie napisać o tych twierdzeniach, które wydają się wątpliwie lub niejasno postawione w dyskusji. Dwie sprawy: sprawa norm formalnych i czystości gatunków, oraz sprawa wzorów z przeszłości. Zacznijmy od wzorów, jako że są prostsze, a przy należytej interpretacji dają się również sprowadzić do zagadnienia gatunków literackich.

Stanowisko obrońców amorfizmu prozy (Hertz, Brandys) wyglądało w tej dyskusji mniej więcej tak: obecne rozbicie gatunków literackich bądź odpowiada skomplikowaniu obecnego świata, bądź jest po prostu świadectwem, że tradycyjne konwencje literackie nie nadążają za nowymi formami rzeczywistości. Wobec tego Balzaka nie podsuwajcie nam do adoracji.

Pięknie. Ale któż to Balzaka podsuwał do adoracji jako wzór formalny? W zainteresowaniu dla klasyków powieści chodzi przecież o co innego, tak że obrona tego zainteresowania powinna brzmieć trochę inaczej, aniżeli ją przeprowadzono w dyskusji. Pracując nad konstrukcją nowego prądu literaskiego, musimy zawsze zwracać się do przeszłości po w y b r a n e doświadczenia i w y b r a n e wzory. Te doświadczenia i te wzory, które na konkretnym etapie rozwoju historycznego zdołały jakoś rozwiązać zadanie do naszego p o d o b n e. Tylko podobne. Nie ma zadań identycznych. Rzecz oczywista, że w naszej dobie, kiedy większość pisarzy nosi w małym palcu nawyki amorficzne, wzory tych właśnie nawyków bardzo mało obchodzą krytyków postulujących. Niewielka sztuka być dzisiaj uczniakiem Prousta

Dlatego stosunek do wielkich realistów sprowadza się do podpatrywania, jak się to stało, że im, w ich konkretnej sytuacji historycznej, udał się ów realizm. Powieści à la Balzak nikt nie radzi pisać Hertzowi ani Brandysowi. Skutek, słusznie to przypomniał Kott, byłby podobny jak w wypadku Bourgeta. Nie dlatego naturalnie, by Hertz czy Brandys byli pozbawieni talentu. Dlatego jedynie, że np. pseudoklasycy znali dobrze normy formalne epopei, a przecież nikt z nich nie zdołał, mimo rozlicznych prób, napisać eposu, podczas gdy pieśni eposu śpiewają po dziś dzień i tworzą bezimienni serbscy pieśniarze. Bo epiczny stosunek do świata odpowiada jeszcze dzisiaj ich widzeniu rzeczywistości.

Natomiast analiza powodów, dla których klasykom powieści udało się osiągnąć wysokie nasycenie ich utworów realizmem, prowadzi do wniosku, że pewne ujęcia formalne uczestniczą w tym na równi z ich przekonaniami, ba, z tym, co mimowiednie przeniknęło do dzieła. Rojalista Balzak klasykiem mieszczaństwa został przecież mimowiednie.

Jakie to są ujęcia formalne? Czy te, o których pisze Thibaudet, czy też inne, bardziej zanurzone w specyficzne odrębności gatunków literackich, oto centrum zagadnienia. I tutaj też, szczerze mówiąc, obracamy się w gęstej mgle. Poetyka, która by na dowodach umiała okazać ścisły związek formy z jej funkcją społeczną, jeszcze prawie że nie istnieje. Obracamy się pośród postulatów i — z konieczności! — intuicyjnych pomysłów. Błędy poznawcze formalizmu. przed którymi ostrzega Żółkiewski, nie są jeszcze tak groźne w Polsce, jak groźny jest nadal sam brak formalizmu, wzbierające ponownie fale nawrotu psychologizowania i budujących ideologii.

Postulat bowiem formalny posiada dwa oblicza, a nie tylko jedno zawarte w słowach: „Brońmy czystych gatunków literackich w każdym wypadku i zawsze". Pierwsze oblicze jest raczej teoretyczne: badajmy, o ile pewne założenia czystych gatunków literackich dadzą się wykrystalizować z obserwacji dzieł. Drugie, raczej praktyczne: które z tych założeń dadzą się dzisiaj zastosować i w dostępnym stopniu ograniczyć amorfizm? A wierzyć wolno, że amorfizm da się bardziej ograniczyć, aniżeli przypuszczają pisarze, dla których przybrał on kształty fatum i konieczności. Wierzyć również wolno, że gatunek prozy przymierzonej do naszej rzeczywistości nie będzie podobny do żadnego z gatunków minionych. I właśnie dlatego młodego pisarza można spokojnie namawiać na Balzaka...

My dzisiaj na powieść sprzed stu lat patrzymy jako na całość przejrzystą i prostą. Wzór! Ale przecież ta forma powieści wyniknęła z rozbicia wszelkich gatunków, w których absolutne istnienie wierzyli pseudoklasycy. Była jakąś s u m ą n i e ł a d u, na którą powoływały się najbardziej rozwichrzone głowy. Suma nieładu naszego czasu stanie się zapewne ładem w sposób mało dla nas dostrzegalny. Ale nie stanie się nim nigdy, póki się będzie powtarzać: tych kółek nikt już nie złoży w mechanizm. Zrezygnowany zegarmistrz, czyli prozaik roku 1947.

Chodzi bowiem o całkiem prostą rzecz. By na początku drogi nie usłyszeć od pisarzy: tego się nie da w ogóle zrobić. Najpierw spróbujmy. Później zobaczymy, czy się naprawdę nie da.

kjw

TEATR LUDOWY

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

Poza kilkoma wcześniejszymi pozycjami wydanymi przez „Książkę" i M. Kowalskiego, sztuki dla teatru popularnego płyną obecnie z trzech źródeł. Pierwszym jest katowickie wydawnictwo Nalepy („Odrodzenie"), drugim Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici", trzecim — Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej, związane z Ludowym Instytutem Oświaty i Kultury w Warszawie.

Wznowienie działalności od 40 lat istniejącej „Biblioteki Teatrów Amatorskich" (wyd. Nalepy) należy uznać za nawrót do złych tradycji. Wśród kilkudziesięciu wydanych ostatnio tomików figurują obok słusznie wznowionych jednoaktówek Fredry i Blizińskiego, obok Bałuckiego i Sewera takie pozycje jak: „Żywy nieboszczyk", „Poseł czy kominiarz", „Panna rekrutem", „Mundur swatem", których tytuły mówią same za siebie. Przedarcie się przez gąszcz tych hurtem niemal wydawanych broszurek wymagałoby niemałego trudu, który nie na wiele by się przydał, skoro — według zapowiedzi „dalsze wznowienia i nowości są w przygotowaniu". Dlatego też bardziej interesujące będzie zbadanie działalności instytucji wydawniczych, które mają zarazem charakter społeczno-oświatowy.

Utwory wydane nakładem Związku Młodzieży Wiejskiej oraz Towarzystwa Teatru i Muzyki Ludowej można według tematyki podzielić na trzy grupy: pierwsza obejmuje sztuki z okresu okupacji, druga — historyczne, trzecia — ludowe o charakterze współczesnym.

TEMATYKA OKUPACYJNA

Fala utworów na tematy wojenne dotarła i do sceny ludowej. Autorzy, pisząc tego rodzaju sztuki, idą najłatwiejszą drogą, gdyż zdają sobie sprawę, że akcenty patriotyczne niezawodnie działają na szerszą publiczność. Skutki są opłakane, gdyż tematyka patriotyczna „sprepar̃owana" na użytek popularny staje się płytka i wulgarna.

Dwie sztuki odznaczone drugą i trzecią nagrodą na konkursie w Łodzi należą właśnie do tego typu literatury i źle świadczą o materiale, z którego jury musiało wybierać. Obie wygrywają efekty melodramatyczne, przejaskrawione, obliczone na niewybrednych odbiorców. W sztuce Leopolda Rybarskiego pt. „Dobrze zrobił" bohaterką jest matka dwóch synów — gestapowca i konspiratora, która początkowo uprawia tajny wywiad dla pierwszego z nich, w zakończeniu pochwala fakt zlikwidowania go przez drugiego syna. Problem zniemczenia młodego chłopca, rozwinięty tak wspaniale w „Młynie nad Lutynią" Iwaszkiewicza, tutaj z konieczności ujęto schematycznie i w płyciźnie dramatycznej — niemal sensacyjnie. Butny gestapowiec popisujący się swym „nadczłowieczeństwem" i programowym sadyzmem, katowanie dziewczynki za sceną, trup na werandzie i grający fokstrota patefon, jako akompaniament do zbrodni — wszystko to stwarza niezdrową i niesmaczną atmosferę.

Druga jednoaktówka T. Goździkiewicza pt. „Wystawa sklepowa" unika wielkich problemów i to przemawia na jej korzyść. Terenem akcji jest mały wycinek życia podczas okupacji — wnętrze sklepu oraz widoczny przez szybę wystawową skrawek ulicy. Żywy dialog, ledwie zarysowane typy, zbyt szybka zmiana scen — nadają sztuce charakter migawek filmowych. Jedyny efektowny trick konstrukcyjny — to upozowanie się panny Fili na wystawową lalkę w momencie łapanki, lecz dwukrotne powtórzenie tego chwytu osłabia wrażenie w punkcie kulminacyjnym.

O ile te obrazki, mimo zarzutów, zalecały się bezpretensjonalnością, nie można tego powiedzieć o dramacie w siedemnastu obrazach Weroniki Wilbik pt. „Jabłoń gada" („Wici" 1946), zamierzonym na wielką skalę (aparat aktorski złożony z 45 osób!). Sztuka bierze swój początek z młodopolskiego patosu, który dla dzisiejszej publiczności jest niestrawny. Wszystkie owe „żmudy" i „zwidy", ów chłop, który „długą wstęgę ofiar zwił" i stanowi „przyszłości zarzewie", ów patriotyzm deklamatorski i frazeologiczny rażą nie mniej niż jaskrawa programowość treści i tendencyjność postaci, z których ani jedna nie żyje własnym życiem. „Jabłoń gada" — to niestety przykład manowców, na jakie schodzi „literatura martyrologiczna".

TEMATYKA HISTORYCZNA

W związku z rocznicą kościuszkowską i wobec — dziś już zresztą zaspokojonego — braku materiałów do obchodów i akademii, fakt, że większość popularnych utworów historycznych czerpie materiał z tej epoki, jest zjawiskiem zrozumiałym. St. Ilowskiego „Przysięga Kościuszki" (T. T. : M. L., Warszawa 1946) jest inscenizacją ważnego momentu dziejowego, pozbawioną fabuły, obliczoną na wywołanie podniosłego nastroju.

Sztuka Weroniki Wilbik „Żywią i bronią" zdradza te same cechy co poprzednia tej samej autorki, przy czym nastrój koturnowy potęgują postacie alegoryczne (Nędza, Pańszczyzna, Klęska. Wolność), choć zastosowane do tematu historycznego cechy te są nieco mniej rażące. Ten sam koturnowy charakter posiada „poemat dramatyczny wierszem" Włodzimierza Słobodnika, pisany w roku 1944. Autor zapowiada w prologu, że z ludowej sceny przemówi historia głosem Szekspirowym i ukazuje oczom widza wnętrze mieszkania szewca Kilińskiego, następnie rynek staromiejski w momencie wybuchu powstania, by wreszcie w zakończeniu zainscenizować rozmowę Upiora (Kilińskiego) z niemieckim żandarmem i usprawiedliwić się w ten sposób przed czytelnikiem: „Wybaczcie błędy mi widzowie lub przypuszczalni czytelnicy, jeśli niezdarnie w mojej mowie ten głos przeszłości krzyczy". Utwór ten zakrojony na wielką miarę, ujęty w oprawę chóru, cechuje — nie wiadomo, czy celowo podkreślona przez autora — marionetkowa groteskowość postaci. Ciężki wiersz, utrudniający aktorom interpretację tekstu, jest jeszcze jednym czynnikiem, który przesądza nieprzydatność tej sztuki dla teatru ludowego.

Odrębny charakter mają utwory, wydane przez T. T. i M. L. w Krakowie: Jana Podkowy „Biała Sukmana" i Marii Rokoszowej „Od Bronowic do Racławic". Są to widowiska poważne, lecz niewątpliwie przystosowane do poziomu chłopa lub robotnika. „Biała sukmana" to jakby w szlachetnym znaczeniu tego słowa montaż historyczny, oparty na ciekawym chwycie konstrukcyjnym, wypływającym z jedności miejsca. Oto akcja rozgrywa się w tej samej chacie wiejskiej najpierw w momencie powstania kościuszkowskiego, potem w przeddzień rzezi galicyjskiej, następnie w końcowym okresie okupacji niemieckiej, wreszcie w roku 1945. Ten historyczny przegląd dziejów chłopa, uchwycony w przełomowych dla niego momentach, miał ukazać jego powolne dojrzewanie narodowe i polityczne, związane z realizującym się postulatem wolności osobistej i sprawiedliwości społecznej. Autor pisze swą sztukę dla Wiciowców i Batalionów Chłopskich i to zacieśnia jej szlachetną problematykę, zwłaszcza w zakończeniu, które ma charakter wybitnie programowy. Mimo to jednak zaznaczona w przedmowie „dążność do stworzenia rapsodu o chłopskiej orężnej służbie narodowej" znalazła tutaj swój mocny i pozbawiony patosu wyraz. Godna podkreślenia jest głęboko ludzka postawa autora, która każe mu widzieć w społeczeństwie nie tylko krzywdzicieli i ciemiężonych, a u chłopa — doszukiwać się innych pobudek działania poza nienawiścią klasową; postawa ta pozwala mu przedstawić sprawę rzezi galicyjskiej w dalekim od demagogii sposób. Chłop, który nie dał się porwać hasłu: „rżnąć panów", mówi: „Bede dalej niewolny! I bede od świtu pracował na pana i trawe wiesną żarł... i strachał się, aby pan nie posłał mnie w rekruty... tako to bedzie dalej ta moja Polska! Ale ostane w nij, ostane..." Myśl przewodnia utworu opiera się na symbolice białej, skrwawionej pod Szczekocinami sukmany, przekształconej w zakończeniu na partyzancki sztandar. Wierność aktualnym dziś hasłom powoduje pewne uproszczenia w treści. W sumie jest to jednak pozycja niewątpliwie wartościowa. Znaczna liczba osób jest tylko pozorna, bowiem ci sami aktorzy mogą odegrać postacie z różnych epok.

Równie interesującą pozycją jest widowisko historyczne Marii Rokoszowej „Od Bronowic do Racławic", osnute na utworze wierszowanym Włodzimierza Tetmajera, przedstawiającym udział chłopów podkrakowskich w insurekcji kościuszkowskiej. Porównanie oryginału z inscenizacją przemawia niewątpliwie na korzyść drugiej. Powieści chłopskiej Tetmajera brak plastyki i szerszego oddechu, wiersz nie należy do najlepszych, niekiedy razi młodopolszczyzną języka, („mary uludne pól widzialne, pól czute" itd.).

Autorka z niezwykłym odczuciem literackim umiała wyłuskać z poematu momenty harmonizujące z dzisiejszym sposobem odczuwania, blade opisy rozłożyć na głosy recytatorów, wyzyskać i ożywić odpowiednimi wkładkami częste zresztą w tekście dialogi. Mimo iż autorka niektóre tylko, niezbędne dla powiązania akcji lub wyjaśnienia fragmenty pisze sama, byłoby pomniejszeniem jej zasług nazwać utwór „przeróbką", jest to bowiem niewątpliwie praca twórcza, oparta na zupełnie indywidualnej w i z j i s c e n i c z n e j. Ponadto autorka umiejętnie wykorzystuje nowe metody recytacji i uzyskuje zupełnie nowe efekty w posługiwaniu się kurtyną. Ze sztuk dotąd omówionych „Od Bronowic do Racławic" zdradza największe wyczucie sceny, świadczące o fachowym przygotowaniu i o bliskim kontakcie z zespołami młodzieżowymi, które będą w takich i tym podobnym sztukach stanowiły materiał aktorski. Utwór ten przeszedł już zresztą ogniową próbę sceny, gdyż był wystawiony osiem razy w teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Jest to widowisko wymagające odpowiedniej oprawy i wystawienie go na scenie świetlicowej byłoby dość trudne ze względu na konieczność czterokrotnej zmiany dekoracji i dużą liczbę osób... (poza recytatorami najmniej 30). Warto jednak te trudności przezwyciężyć, gdyż ten rodzaj sztuki ludowej, barwnej i efektownej, spotka się na pewno z serdecznym przyjęciem na wsi i w mieście. Szkoda tylko, że dwie ostatnie sztuki, należące do najbardziej interesujących spośród wyżej omówionych, zostały wskutek skromnych zasobów T. T. i M. L. w Krakowie wydane na gazetowym papierze.

TEMATYKA WSPÓŁCZESNA

Akcja sztuki ludowej Nowosielskiego pt. „Szczęście Hani" rozgrywa się po ostatniej wojnie, lecz da się to stwierdzić jedynie na podstawie małoważnych fragmentów. Osią intrygi jest tutaj zachłanność bogatej wójtowej, której się przeciwstawia oparta na niepisanym prawie uczciwość sąsiedzka jej męża. W tej sprzecznej dążności wpłata się miłość dwojga młodych, skarykaturowana postać konkurenta oraz 500 dolarów, które pomagają wydatnie do happy endu. Całość banalna, lecz nie rażąca jaskrawizną.

Podobna w charakterze „Grusza na miedzy" Stefanii Zawadzkiej, która otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie w Łodzi, osnuta jest na tle sąsiedzkiego sporu o symboliczną gruszę, sporu, który został rozstrzygnięty w duchu problematyki współczesnej. Oto dwaj chłopcy, zbratani wspólną walką na obcych frontach, wracają do domu rodzinnego i ich serdeczna zażyłość godzi poważnionych ojców. Wykonaniu tego szczęśliwego pomysłu brak jednak napięcia dramatycznego, typy są mało zindywidualizowane, ponadto brak konsekwencji w posługiwaniu się gwarą (w tej samej zwrotce piosenki „oścież̃aj" obok „kupecką" oraz „wiecznie" obok „sumi").

Powyższy przegląd wydawnictw ukazuje wyraźnie, z jak wielkimi trudnościami boryka się dzisiaj scena popularna, jak nie łatwo o sztukę, która zadowoliłaby widza, a jednocześnie przeszła przez potrójną cenzurę: artystyczną, pedagogiczną i sceniczną. Byłoby wskazane, by wartościowsze z omówionych powyżej pozycji obiegły różne zespoły świetlicowe, które mogłyby się ponadto porozumiewać i wzajemnie korzystać ze swych doświadczeń. Takie ograniczenie zasobu materiału byłoby pożądane w celu uniknięcia nieudałych prób. Korzystanie z dawnego i obecnego repertuaru bez wyboru opóźni tę ważną i długich lat wymagającą pracę, jaką jest w y c h o w a n i e w i d z a t e a t r a l n e g o, pracę związaną tak ściśle z ogólną robotą kulturalno-oświatową. Trzeba także raz jeszcze przypomnieć, że reżyserami nie powinna powodować pogoń za nowością, że utwory o problematyce współczesnej należy przeplatać dawnymi, których wartość artystyczną i użyteczność społeczną możemy z większym obiektywizmem ocenić.

Krystyna Kuliczkowska

WŚRÓD KSIĄŻEK

Prof. dr Bogdan Suchodolski. Polskie tradycje demokratyczne. (Warszawa), M. Arct, 1946; str. 181 i 3 nl.

Autor cennych antologij „Ideały kultury a prądy społeczne" i „Kultura i osobowość" znanych dobrze sprzed wojny, dał w cyklu „Książek dla wszystkich" przegląd idei demokracji w ujęciu myślicieli polskich, od Stanisława Staszica do Stanisława Witkiewicza. Nowa antologia pomija działaczy i polityków organizujących nowe życie, a także wodzów i żołnierzy walk „za wolność naszą i waszą". Popularyzuje tylko sylwetki myślicieli i pisarzy, a choć Suchodolski zgromadził ich 29, lista bynajmniej nie jest pełna. W sylwetki wplótł autor możliwie dużo cytatów, aby czytelnik mógł się oprzeć na materiale bardziej bezpośrednim. Krytyczny czytelnik potrafi wyróżnić, co w tym przeglądzie jest już tylko historią, a co ma nadal wartość i znaczenie. Suchodolski wykazuje, jak myśl polska w swoistych warunkach podejmowała zagadnienie demokracji i jakie się w nim zawarły swoiste składniki. Umie też uwydatnić ciągłość tradycji myśli i wielkość konfliktów, jakie napotykała ona w swym pięknym rozwoju.

Antoni Szczepkowski. Nauczanie rysunku w szkole podstawowej. Kraków. 1947; str. 216, rysunków 103.

Podręcznik prof. Szczepkowskiego ma być informatorem i przewodnikiem dla uczącego rysunku w szkole podstawowej oraz ośmielić i zachęcić nauczycieli do samodzielnych ćwiczeń i dalszych studiów w opanowywaniu sztuki rysowania. Cel pierwszy realizuje w zupełności. Informuje dokładnie o roli rysunku w wychowaniu młodzieży, o warunkach i organizacji pracy, o technice rysunkowej i „metryce" rysunku, o liternictwie i rodzajach druku, potem o rysowaniu przedmiotów przestrzennych w perspektywie, zagadnieniu światłocienia, wreszcie o projektowaniu dekoracji na rozmaite uroczystości. Zasady planowania rocznego rozkładu materiału nauczania i uwagi końcowe zabiegają o to, aby dać jak najwięcej praktycznych wskazówek młodszym kolegom, często szukającym daremnie doświadczonego przewodnika. Do tego zmierzają też liczne (jest ich 103) rysunki, wykonane dokładnie i wyraźnie odbite. Inna sprawa, czy podręcznik Szczepkowskiego da również podnietę do dalszych, głębszych studiów. Zdaje mi się jednak, że nie w tym tkwi główny jego sens. Jeśli dzięki pomocy podręcznika Szczepkowskiego osiągniemy to, że w szkole podstawowej młodzież w sposób właściwy nauczy się posługiwać ołówkiem, kredką, pędzlem i piórem, jeśli potrafi czysto i wyraźnie wykonać sylwetę, kontur i rysunek z natury i z wyobraźni, jeśli zdoła odpowiednio wyzyskać rozmaite rodzaje pism i druk i pozna główne zasady perspektywy, aby praktycznie zastosować wiedzę rysunkową do codziennych potrzeb życia — będzie to już dużo.

Stefan Papee

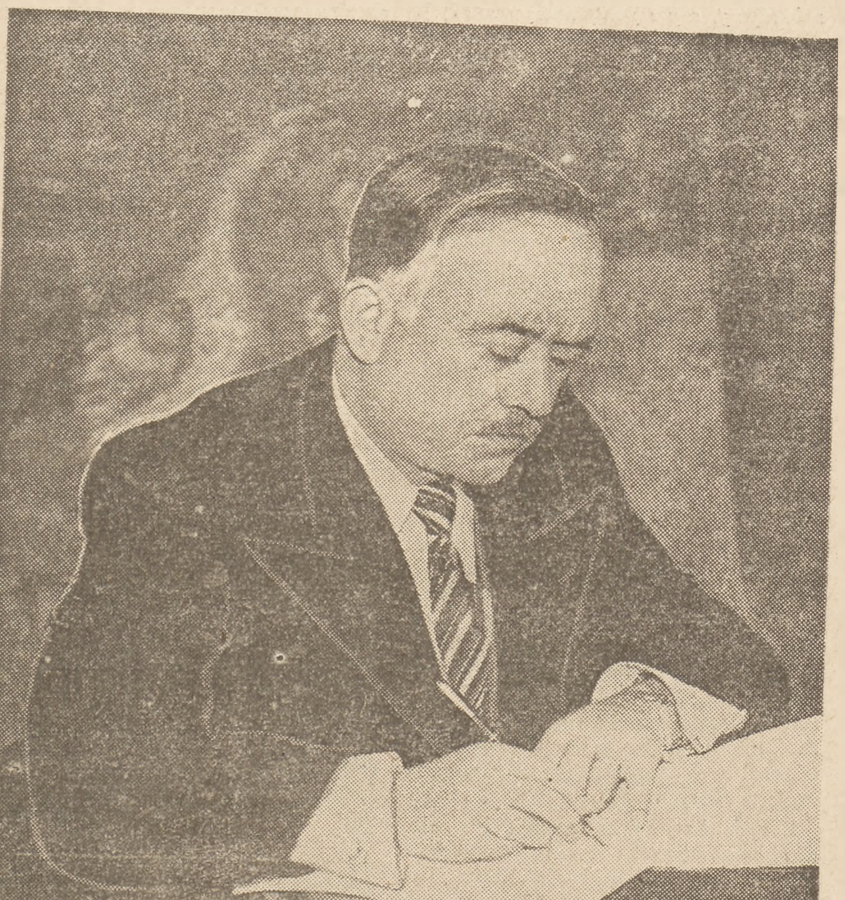
Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji „Odrodzenia" są odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przesyłanie nowości możliwie w dwu egzemplarzach.

VINCENT AURIOL

Posiedzenie francuskiego Zgromadzenia Konstytucyjnego w dniu 1 kwietnia 1946. Przemawia René Capitant, konstytucyjny porte-parole generała de Gaulle'a. W pewnej chwili rzuca twierdzenie: „Wydaje



Vincent Auriol

mi się, patrząc na nasze obrady, jakbyśmy byli na posiedzeniu Reichstagu kilka miesięcy przed dojściem do władzy Hitlera". Spokojny i opanowany przewodniczący, Vincent Auriol, zareagował od razu i gwałtownie: „Są porównania, których nie wolno panu używać, i na które nie pozwolę... Nasze ustawodawstwo jest ustawodawstwem wolności. Nie pozwalam panu na porównywanie go z régimem Hitlera".

To jest właśnie Auriol. Chłopski syn Francji, dla którego tradycja wolności jest najdroższą, najbardziej narodową tradycją. Przez kult wolności doszedł do socjalizmu. Gdy później w dyskusji konstytucyjnej jeden z jego towarzyszy na zarzut „dyktatury partyj" odpowie: „używa się tego pojęcia, by zakryć dwa inne, o wiele bardziej istotne: dyktatury feodalizmów gospodarczych i dyktatury osobistej", Auriol nie potrafi, na trybunie przewodniczącego, powstrzymać się od cichej, ale widocznej aprobaty. Jest socjalistą właśnie dlatego, że kapitalizm jest zaprzeczeniem wolności. I staje się socjalistycznym specjalistą w sprawach finansowo-gospodarczych właśnie dlatego, by umieć łamać kapitalizm. W roku 1920 opracował projekt progresywnego podatku majątkowego, który byłby ciężkim ciosem dla wielkich fortun we Francji. Jako minister skarbu w gabinecie Bluma był głównym zwolennikiem daleko posuniętej kontroli państwa nad kartelami i trustami.

Przed wojną uchodził we Francuskiej Partii Socjalistycznej za zwolennika raczej prawicowego kierunku. Wielkie dzieło ogłoszone po wojnie („Hier... demain"), dające analizę przeszłości i koncepcję przyszłości Francji, dowodzi, że uległ ewolucji na lewo. Przedstawiony w tej książce program konstytucyjny, w przeciwstawieniu do programu Bluma, wypowiadającego się raczej za naśladowaniem wzorów szwajcarskich i amerykańskich, zbliżony jest do poglądów komunistów (jednoizbowy parlament, prezydent republiki wybierany przez izbę i tylko na okres kadencji izby). Pozwala mu to, jako przewodniczącemu pierwszej i drugiej konstytuanty, na odgrywanie roli pośrednika między socjalistami i komunistami — z mniejszym powodzeniem między socjalistami i komunistami z jednej a MRP z drugiej strony. Jemu właśnie zawdzięcza Francja to, że druga konstytuanta potrafiła dać jej nowy ustrój, że doszło do kompromisu między trzema wielkimi partiami.

Ostatnio, po wyborze pierwszego normalnego Zgromadzenia Narodowego, staje się wyznawcą koncepcji „czwórpartyjnego" gabinetu (komuniści, socjaliści, radykali, MRP), podobnie jak większość socjalistów i komuniści, inaczej niż MRP, które pragnie „rządu narodowego" z włączeniem do niego również przedstawicieli prawicy. I tu znowu wyszedł na jaw rys jego charakteru, cechujący go po wojnie: skłonność do kompromisu, ale tylko tak długo, jak można liczyć na zjednanie komunistów, nigdy przeciw nim. Jest typowym wyrazicielem francuskiego „dogmatu lewicowości", tezy, że nie wolno mieć nieprzyjaciół na lewo od siebie. I to może sprawiło, że został prezydentem Francji, już w pierwszym głosowaniu, bez kontrkandydata komunistycznego, ale z kontrkandydatem MRP.

gi

SPRAWA TILLESENA

26 października 1921 r. dwaj Niemcy, byli oficerowie zawodowi, Henryk Tillesen i Henryk Schulz zamordowali Mateusza Erzbergera, przywódcę katolickiego „Centrum" w Niemczech. Erzberger, polityk niemiecki, który złożył swój podpis na akcie kapitulacji Niemiec w 1918 r., przywódca „Centrum", rozumiejący konieczność współpracy z lewicą, aby utrzymać demokrację w Niemczech, był jedynym z niesocjalistycznych i niekomunistycznych działaczy, którego narodowo-socjalistyczna partia umieściła na liście „zdrajców listopadowych" — osób, które obaliły cesarstwo Hohenzollernów.

Mordercy „zbiegli" za granicę. 21 marca 1933 Hindenburg ogłosił dekret amnestyjny, obejmujący też sprawców mordu na Erzbergerze. Okazało się wtedy, że Tillesen przebywa w Niemczech. W czasie drugiej wojny światowej był on oficerem marynarki. Po klęsce Niemiec aresztowały go władze amerykańskie i jako mordercę Erzbergera postawiły przed sądem niemieckim w strefie francuskiej.

25 listopada 1945 sędzia Goering otworzył posiedzenie sądu w sprawie Tillesena, nadając pierwszej rozprawie szczególnie uroczysty charakter. Stwierdził on, że zadaniem sądu jest przekonać i Niemców i zagranicę, iż „wymiar sprawiedliwości w Niemczech spoczywa znowu w rękach sędziów niezawisłych podlegających jedynie prawu i swemu sumieniu". Po czym — sąd umorzył postępowanie.

Umorzenie postępowania nastąpiło z przyczyn formalnych: aliancka Rada Kontrolna usuwając z ustawy nr 1 z dnia 20 sierpnia 1945 wiele wyraźnie w niej wymienionych ustaw hitlerowskich — nie wymieniła dekretu amnestyjnego z dnia 21 marca 1933 r. Wprawdzie prokurator stanął na stanowisku, że dekret jako sprzeczny z konstytucją weimarską jest nieważny, ale sąd uznał, że nie ma prawa badać ważności ustaw i dekretów (przed styczniem 1933 sądy niemieckie były innego zdania).

Jak dotąd sprawa wygląda na mały skandal. Sąd niemiecki, nie chcąc skazywać „bohatera narodowego", stanął na ściśle formalistycznym stanowisku. I tu zaczyna się już wielki skandal. Sędzia Goering, ogłaszając swe postanowienie, nie poprzestał na stwierdzeniu, że prawo ścigania Tillesena wygasło z przyczyn czysto formalnych. Uważał za wskazane dodać: „Sąd uważa za dowiedzione, że sprawca popełnił swój czyn z przesadnej miłości ojczyzny, aby poprowadzić Niemcy ku lepszej przyszłości". I w tym sedno sprawy. To zdanie naświetliło mentalność tych nawet Niemców, których alianci uznali za godnych wymierzania pod ich kontrolą sprawiedliwości w imieniu demokratycznych Niemiec.

Zdanie to padło bowiem w chwili, gdy zaczynają się dyskusje nad przyszłym traktatem pokojowym z Niemcami. I oto w takiej chwili sąd niemiecki powiada: morderca człowieka, który kapitulował przed aliantami w roku 1918, był dobrym, tylko „przesadnym" patriotą. Sąd niemiecki ostrzega tych, którzy będą w przyszłości podpisywać traktat pokoju w imieniu Niemiec: pamiętajcie, jaki los spotkał Erzbergera i wiedzcie, że sądy niemieckie nie zmieniły swego stanowiska wobec tego rodzaju mordów. Teoria „mordu politycznego", jako aktu „konieczności państwowej", żyje nadal w Niemczech.

Nie jest to bowiem teoria nowa. W latach rewolucji 1918—1923 „Czarna Reichswehra" i nacjonalistyczno-wojskowe formacje mordowały przywódców i działaczy lewicy niemieckiej. Mordercy stawali potem przed sądami niemieckimi. I oto sądy powiadały: „Prawdziwa trudność leży w tym, iż ustawa zmusza sądy do oceny wydarzeń historycznych przy pomocy postanowień prawnych, które obliczone są na czasy normalne", i dodawały: „w czasach nadzwyczajnego niebezpieczeństwa dla państwa i narodu, sądy państwa, dla którego ocalenia dokonano czynu, nie mogą sprawcy sądzić wedle paragrafów". Mówiły to w roku 1929, w stolicy Rzeszy, przed dojściem do władzy Hitlera. I to samo mówią dziś — po klęsce Hitlera.

Podobnie mówiła — nie wiem, czy już ponownie mówi — nauka niemiecka. Profesor prawa karnego Fryderyk Grimm wygłosił odczyt „Mord polityczny a kult bohatera", poświęcony mordercom Dollfussa. Profesor prawa konstytucyjnego Karl Schmidt uznawał mordy dokonane przez Hitlera i jego przyjaciół w dniu 1 lipca 1933 za „najwyższy wymiar karzącej sprawiedliwości". Pogląd, że wolno mordować jeśli tego wymaga „dobro Rzeszy", utrzymał się nadal w Niemczech. I to jest sens polityczny wyroku w sprawie Tillesena. Stan rzeczy jest taki, że sąd niemiecki nie obawia się już dziś tego poglądu wypowiedzieć. I to jest oświetlenie rezultatów dotychczasowych metod okupacji Niemiec.

Konstanty Grzybowski

KORESPONDENCJA

ODPOWIEDŹ TADEUSZOWI BREZIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W 44 (101) numerze „Odrodzenia" znakomity pisarz Tadeusz Breza, omawiając w artykule pt. „Relacje o powstaniu" moją książkę „Powstanie mokotowskie", wypowiedział sądy i postawił pytanie, zobowiązujące mnie niejako do publicznej odpowiedzi, co niniejszym czynię, mimo że nie należy do utartych zwyczajów literackich zabieranie głosu w sprawie własnej książki. Nieprzestrzeganie wyżej wymienionego obyczaju w danym wypadku, opatrzone sankcją samego Brezy, winno mi więc zostać wybaczone przez ogół czytelników.

Tadeusz Breza wysnuwa na końcu swego artykułu pewien zasadniczy wniosek, co do którego mam zastrzeżenia. — „Jego (tzn. moja) ambicja — pisze Breza — ma system starodawny. Dzisiejszy nowy rodzaj ambicji to jak najdalej posunięta pokora".

A teraz taki obrazek, autentyczny, mój: wieczór dnia 26 września 1944 roku na Mokotowie. Dookoła maleńkiego skrawka przedmieścia, jeszcze opanowanego przez powstańców, szaleją pożary. Cisza. Kolejka ludzi do włazu. Piwnice przepełnione cywilami i żołnierzami. Żołnierze uzupełniają swój ekwipunek. Magazyny oczyszcza się z żywności. Propaganda i bezpieczeństwo już są nieobecne. Chaos i dezorganizacja. Klęska.

Nazajutrz, po dwu miesiącach ofiar poniesionych bez wyjątku przez wszystkich, i tutaj wtargną Niemcy. W małej piwnicznej kuchence wykonuję ostatni rozkaz, który otrzymałem. Palę akta dowództwa. Nie jest to łatwe zadanie, bowiem te zwykłe kartki papieru zapełnione maszynowym pismem zawierają tak wiele, zawierają czyjąś transcendentalną głupotę i czyjeś nadludzkie bohaterstwo. Jest tak cicho, że słyszę szelest papieru, zżeranego przez ogień. Strzały już wtenczas ucichły na Mokotowie, pozostał tylko zwyczajny efekt dźwiękowy — odgłos spalającego się papieru, wcale niewojenny, po prostu zwykły. Gdy już kończę, do kuchenki wchodzi jedna z lokatorek piwnicy, starsza kobieta, która wiele razy częstowała żołnierzy i oficerów, ot tak, z dobrego serca, zupą i papierosami. Ewakuacja jest publiczną tajemnicą. Celem zapobieżenia panice oficjalnie zataja się ją przed cywilami. Kobieta ma pod swoją opieką 8-miesięcznego siostrzeńca, którego rodzice „zgubili się" w pierwszym dniu powstania.

— Panowie nas zostawiacie? — pyta kobieta.

Nic nie odpowiadam. Zagląda grupa łączniczek, już gotowych do drogi.

— Co Niemcy zrobią z małym? — pyta powtórnie kobieta. — Dlaczego tak się dzieje. Proszę, niech pan mi powie.

Milczę. Nie wiem, co odpowiedzieć. A zresztą, nie wolno mi mówić, że wycofujemy się. Nie wolno mi oskarżać ani tłumaczyć.

A więc uczyniłem to nieco później. Czułem się do tego zobowiązany. Przez tamtą kobietę i jej małego, a także przez wielu innych, którym wtedy, w owe gorące dni, nie mogłem odpowiedzieć. Moją ambicją było pokazanie autentycznego obrazu odcinka mokotowskiego powstania nie od strony chłopięcego bohaterstwa. Chciałem ukazać prawdziwy sens powstańczej tragedii. Posiadałem do tego obiektywne i subiektywne dane, jak mało kto.

Na zarzut braku pokory odpowiem jeszcze tylko to, że nie potrafię być pokornym wobec tematu tak gorącego jak powstańczy. Uważam, że pisarz nie tylko powinien ukazywać, lecz także uczyć i sądzić. Jeśli pogląd ten jest starodawny, trudno, i ja jestem starodawny.

Pierwotnie, w myśl moich intencji, „Powstanie mokotowskie" miało być opatrzone wstępem, który by tłumaczył wszystkie kwestie, niejasne dla Brezy, a zapewne także dla innych krytyków i czytelników. Jednak ze względów niezależnych od autora wstęp nie ukazał się w druku.

Jak już wspominałem, sam materiał jakby garnął się do rąk. Byłem prostym żołnierzem, najpierw w grupie „Granat", będącej de nomine zaczątkiem pułku artylerii. Byłem tam kanonierem, przy czym oddział cierpiał na chroniczny brak już nie tylko kb, lecz nawet rewolwerów. Ponieważ nocą wartownicy obowiązani byli posiadać broń, niekiedy trzeba ją było pożyczać od innych. 23 sierpnia, w nowoutworzonym dowództwie obwodu zacząłem pełnić funkcję zastępcy kancelisty. W praktyce wyglądało to tak, że mój szef, por. Jawor, zajęty całymi dniami aprowidowaniem swej licznej zresztą rodziny, był nieobecny, ja zaś prowadziłem kancelarię. Nie należy oczywiście przesadzać, owa powstańcza „kancelaria" niewiele miała wspólnego z normalną. Częściej przenosiło się akta i czyściło pokój z odłamków szkła i gruzu, niż spełniało czynności ściśle kancelaryjne. Prowadziłem ewidencję pism „wchodzących i wychodzących" (meldunki dowódców oddziałów, rejonów i wszelkie inne, które z czasem stworzyły archiwum). Oczywiście były to rzeczy niezwykle interesujące historycznie i dzisiaj dużo bym dał, aby móc je znów przejrzeć.

Informacje do mojej książki czerpałem nie tylko z archiwum. Rękopis dotyczący rokowań polsko-węgierskich sam przedyktowywałem na maszynę. Później posiadałem w archiwum odpis maszynowy relacji płk. Szymona, szefa propagandy. Ta sensacyjna afera, która wywołała tyle niedowierzania u czytelników, ma we mnie właśnie jednego z nielicznych świadków, rzecz prosta od strony oficjalnej, tzn. relacji podanej na piśmie przez płk. Szymona. Finał owej „awantury" znany był wszystkim, tak że dziwne by było, gdybym akurat ja go nie znał. Zapewne żyją ludzie, którzy mogliby udzielić większej ilości nawet bardziej fantastycznych informacji o polityce i taktyce dowództwa powstańczego, oni jednak, jako członkowie owego dowództwa, będą milczeć, a co najwyżej obrzucać kalumniami tę cząstkę prawdy, która została udostępniona ogółowi czytelników, bądź też pokrywać wstydliwie swoje dawne błędy cudzym, żołnierskim bohaterstwem.

Na zakończenie chciałem zaznaczyć, że powstanie warszawskie miało wyraźne oblicze polityczne. I dlatego aby dzieło nie zawisło w próżni, autor siłą rzeczy musi z tego czy innego punktu widzenia poruszyć zagadnienia ściśle polityczne. Nie wydaje mi się, by to kolidowało z sumieniem twórcy, a także by pomniejszało wartość literacką utworu. Literatura winna obejmować ogół zjawisk życia, a sprawy polityki bezsprzecznie należą do nich.

Jerzy Pytlakowski (Warszawa)

JESZCZE ERENBURG

Do redaktora „Odrodzenia"

Wychodzące w Łodzi ilustrowane pismo tygodniowe „Tydzień" posiada rubrykę zatytułowaną „Skleroza" w której ogłasza różne dziwolągi i cudactwa, wykrywane przez czytelników w prasie, zaopatruje je w komentarze i nagradza odkrywców najlepszych „kawałków". W numerze 1 (25) z dnia 5. I 1947 r. ogłoszone zostało, że nagrodę w sumie 150 zł za najlepszą rzecz tygodnia otrzymał niejaki P. Taran z Puław. Najlepszą rzeczą tygodnia okazał się następujący wycinek z mego artykułu „O temacie wojennym", ogłoszonego w numerze 49 (106) „Odrodzenia":

„Popularność Erenburga była niezwykła... W odnalezionym rozkazie dowódcy jednego z radzieckich oddziałów partyzanckich zabrania się partyzantom używania jako zwitków do machorki tych stron gazety, na których wydrukowane są artykuły Erenburga. Czy może być wyższa nagroda dla pisarza tej wojny niż taki rozkaz?"

Prawda, że zabawne? Używali gazet do palenia zamiast bibułek Solali — pyszny kawał! Otrzymywali artykuły Erenburga ze zrzutów i zamiast je niszczyć, czytali i przekazywali je z rąk do rąk — można umrzeć ze śmiechu! A oto komentarz redakcji „Tygodnia" do tego kawału:

„Dalszy ciąg tej historii, jak się dowiadujemy z miarodajnych źródeł, był następujący. Po pewnym czasie partyzanci, nie mając w czym palić (wszędzie Erenburg i Erenburg), zwrócili się do znakomitego pisarza z prośbą o spowodowanie zmiany rozkazu. Czarująco ironiczny autor „Julio Jurenito" odpowiedział im: Rzeczywiście, z tym wazeliniarstwem przesada. Poza tym w lasach trudno o dobór papieru: trzeba brać, co jest pod ręką. „Jednakże — jako cywil — nie mam wpływu na niektórych dowódców partyzantów. Ale wysyłam wam, drodzy chłopcy, komplet artykułów niejakiego Pawła Konrada. Używajcie ich do wszystkiego, walczcie dzielnie i śmiejcie się razem ze mną. Wasz stary Ilia"

Prawda, że dowcipne i ze smakiem? Wzmianka moja jest relacją najzupełniej prawdziwą o sprawach, które w Związku Radzieckim pamiętają i znają wszyscy, a w Polsce — bardzo wielu. Jeśli redakcja „Tygodnia" tych spraw nie zna, to powinna chyba poinformować się, a nie premiować innych nie znających. Chodzi przecież nie o pojedynczy, nie dający się sprawdzić przypadek ale o typowy objaw. „Czarująco ironiczny" Erenburg był w latach wojny najbardziej płomiennym trybunem sprawy, o którą walczył naród radziecki. Popularność Erenburga, zwłaszcza wśród żołnierzy radzieckich, była bezprzykładna. Artykuły jego wędrowały z rąk do rąk, a że do skręcania papierosów używano tylko papieru gazetowego, było w zwyczaju, żeby te artykuły wycinać dla siebie lub dla innych. Nagród za te wycinki nie płacono. Te wycinki po prostu czytano i rozumiano.

Istnieją ludzie, którym brak poczucia humoru. Istnieją ludzie o poczuciu humoru perwersyjnym. To, co innych głęboko smuci lub wzrusza, ich śmieszy. Gdy słyszą słowa tragiczne lub surowo prawdziwe przymrużają filuternie oko i uśmiechają się cwaniacko: wiadomo „odstawianie", bujda, lipa...

Bywa tak niekiedy w teatrze, że w najtragiczniejszym, najbardziej podniosłym momencie ktoś nagle ni w pięć ni w dziewięć zachichoce.

I trzeba go uciszać psykaniem.

Paweł Konrad (Warszawa)

W SPRAWIE PISM ZEBRANYCH TEODORA BUJNICKIEGO

W związku z przygotowaniem do druku utworów zebranych zmarłego tragicznie poety Teodora Bujnickiego zwracam się z uprzejmą prośbą do wszystkich osób, posiadających jakiekolwiek utwory lub przekłady pióra tego poety, niedrukowane lub drukowane jedynie w czasopismach, a nie włączone do zbiorów poetyckich („Patykiem po niebie", „Pomacku", „W połowie drogi") o łaskawe porozumienie się ze mną lub nadesłanie ich na moje ręce pod adresem: Łódź, Al. T. Kościuszki 98, m. 17.

Ryszard Matuszewski

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule Krystyny Kuliczkowskiej „Na drogach teatru ludowego" („Odrodzenie" nr 2/111) błędnie podano moje nazwisko: Hlonszek, zamiast **Hlouszek.**

Wincenty Hlouszek (Opole)

W poprzednim, 3 (112) numerze „Odrodzenia" z dnia 19 stycznia 1947 r.: **Jerzy Andrzejewski:** Zaraz po wojnie — Powieść. (1). — **Aleksander Majakowski** (przełożył **Artur Sandauer**): Dobrze. — **Kazimierz Wyka** i **Henryk Vogler:** Nowe dzieło Zofii Nałkowskiej. — **Kazimierz Wyka:** Sprawa Warszawy. — **Julian Przyboś:** Z listu do wyborców. — **Artur Sandauer:** Uwagi o nowelach Rudnickiego. — **Julian Przyboś:** O słuchu poetyckim. — Pierwszy konkurs literacki dla czytelników „Odrodzenia". — **Stefan Szuman:** Książka o psychologii małp. — **Hanna Mortkowicz-Olczakowa:** Sześć nocy w Leszczynie. — **Konstanty Grzybowski:** Prusy przestały istnieć. — **Tadeusz Peiper:** „Wielki człowiek do małych interesów". — **Tadeusz Dobrowolski:** Kilka uwag o realizmie malarskim. — **Jasz-cz:** Przegląd prasy. — **Józef Sieradzki:** Gawęda z emigracją. — **T. P.:** „Powrót" Flersa i Croisseta w krakowskim Starym Teatrze. — **kjw:** Szkoła krytyków. Za kilka miesięcy. — **Wacław Kubacki:** Notatki poznańskie. — **Stefan Papée:** Wśród książek. — **Józef Sieradzki:** Stara i nowa demokracja. — Tydzień bibliograficzny. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — **Jaszcz:** Dla odprężenia nerwów. — Kronika ilustrowana. — **K. I. Gałczyński:** „Sprzysiężenie" — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia" (**Julian Bonder, Adam Krzyżanowski, Julian Przyboś**). — Korespondencja — **Jaszcz:** Kłopoty nadwrażliwości. — 6 ilustracji. — 12 stron.

POŻEGNANIE LASU

Dziwne, że pierwszą książkę o partyzantce w Polsce napisała kobieta *). Dziwne, że przy obfitej literaturze obozowej jest to pierwsza książka partyzancka.

Czyż problem lasu byłby aż tak drażliwy? Zastanówmy się.

O pracach konspiracji w czasie okupacji znajdziemy echa w każdej prawie książce osnutej na tle przeżyć z tamtych czasów. Powstanie warszawskie ma też pokaźną bibliografię. Ale próby utrwalenia przeżyć ludzi, którzy tułali się przez kilka lat bez przerwy po lasach, są nikłe i niewystarczające. Czy warto je utrwalić — dla utrwalenia pełnego obrazu minionej wojny — zastanówmy się po przeżyciu tej książki.

Książka Zofii Dróżdż-Satanowskiej jest dokumentem. Wiernym dokumentem lat leśnych. I dlatego nie warto przykładać do niej miar literackich i doszukiwać się słabości kompozycyjnych. Książka ta opowiada o walkach oddziału partyzanckiego na błotach poleskich, często wśród wrogiej ludności, pod niesłychanym terrorem niemieckim. Fakty podane przez autorkę są zapewne prawdziwe, co zresztą gwarantuje podtytuł książki: „ze wspomnień partyzanckich". Zresztą, kto był w lesie, ten przeżył na pewno te typowe dla walk partyzanckich wypadki, które opisuje autorka.

Dziwne jest jeszcze, że nie mamy polskiego terminu na określenie człowieka walczącego o wolność. Że posługujemy się obcym określeniem „partyzant", udzielając w nim azylu ludziom niekoniecznie o samą wolność walczącym. Tym bardziej, że nasze walki partyzanckie mają już bez mała wiekową tradycję.

Walki partyzanckie są najjaskrawszym i najbardziej ostrym objawem wojny. Są strategią, w której nie obowiązują żadne konwencje międzynarodowe. Tu nie znano pojęcia: jeniec — nie rozumiano, co to ranny.

W takich warunkach, w takich walkach mężniała duża część naszej młodzieży, bo młodzież — i to często niedojrzała — zasilała szeregi partyzanckie. Starsi — rozważniejsi — prowadzili inne akcje i tworzyli „sztaby". Oni to wydawali rozkazy, które często bezkrytycznie (bo tego wymaga dyscyplina wojskowa) wypełniała młodzież.

Autorka miała wtedy 20 lat. Tyle samo mniej więcej miała lwia część jej oddziału. Wtedy autorka poznawała świat, wtedy konstruowała odskocznię, z której miała wyruszyć w życie. Poznała świat dotkliwy i przerażający w swej prostocie: towarzysza nie opuścić do ostatniej chwili, każdego wroga zabić. Ludzi poznawała i oceniała od strony ich zdolności do walki, do noszenia karabinu. „Jasio" był cennym żołnierzem, mimo że rabował i gwałcił. Dlatego, że istniała „matematyka wojny" — jak to nazywa autorka. Że tak trzeba było dzielić i odejmować życia ludzkie, ażeby w końcu osiągnąć zwycięstwo. Że za wysadzenie pociągu w powietrze ginęła cała wieś, wymordowana przez Niemców.

Czasem przychodzi zwątpienie w celowość tych walk. Przecież to były zmagania z samym sobą — męki, których wynik był często odwrotny: swoją przegraną okupywało się niepomiernymi w stosunku do celu, ofiarami.

Legenda leśna, wytworzona w zacisznym saloniku, kiedy to młodzieńcy w długich butach z minami konspiracyjnymi obsiadali tapczany, a panny grały nastrojowo na pianinie: „Wojenko, cudna pani...", nabierała groteskowego zabarwienia tam, w lesie. Nikt wtedy — w saloniku — nie brał dosłownie słów tej ulubionej piosenki, „że nie jest tak na wojnie, jak jest w żołnierskim śpiewie".

Tam, w lesie, wszystko się upraszczało, znikał patos — zostawała konieczność walki, konieczność bronienia życia. Życia, do którego trzeba było całych butów, odbieranych nawet swoim, sytego żołądka i śmierci wroga.

W „Niewydeptanych ścieżkach" spotykamy fakty, z którymi nam dzisiaj — za schludnym biurkiem w zacisznym pokoju — trudno się pogodzić i uwierzyć w nie. Były to fakty zwykłe, codzienne. Wie o tym każdy, kto otarł się o las.

Taką wątpliwość może budzić chociażby postać Władysława, pół-Niemca, eks-oficera niemieckiego, oddającego duże usługi partyzantom. Ale w oddziałach zdarzali się nawet rodowici Niemcy, nie mówiąc już o Rosjanach i Białorusinach. — Widziałem cmentarzyk partyzancki. Na jednym z krzyżów wiatr szarpał niebiesko-biało-czerwoną szmatkę zmoczoną przez jesienny deszcz. Na brzozowej deseczce ktoś ołówkiem kopiowym niewprawnie narysował pseudonim-imię: „Jean".

To była najbardziej nieubłagana, międzynarodowa walka o godność ludzką. Krucjata, w której młodzież uczyła się matematyki wojennej, patrząc na kolegów rozstrzeliwujących Niemców. Czy egzekucje te spełniali z zamiłowania, dla satysfakcji? — Nie! Świadectwo temu daje bezwiednie sama autorka. Wrażliwość na ludzkie cierpienia jest elastyczna. I po koszmarze wojennym wróci znów do swojej poprzedniej objętości. Ludwisia, która trupowi mściwie rozbija głowę łopatą — to epizod, to chwilowe rozprzężenie, które zdarza się rzadko i które potem nie powróci. To był paroksyzm człowieka cierpiącego. To zrodziła wojna — wojna najbardziej barbarzyńska.

Wszystko to widziała jeszcze nawet nie kobieta — dwudziestoletnia dziewczyna. Nie tylko widziała — brała czynny udział. I wtedy rodził się w niej sprzeciw — bunt zdrowego organizmu. Oto co mówi autorka: „To jest linia graniczna, przepaść pomiędzy mężczyzną i kobietą. Oni tam ćwiczą się w organizowaniu wojny, a te tutaj uczą się ją znosić. I dopiero wtedy, kiedy kobieta przejdzie granicę, weźmie tych awanturników za kark silnie, świat się może odmieni. To jest... między innymi rola kobiety w czasach powojennych. Powiedzą kiedyś — dosyć!".

Musimy wierzyć autorce, bo chcemy wyjść z epoki, kiedy młodzież na korze drzew zamiast serc wycinała inicjały: „20 sierpnia 1943. Jasio, Edzio i Marysia, partyzanci, szli tędy, aby wysadzić pociąg niemiecki w powietrze".

*

Las jest drażliwym tematem. Nie można o nim wspominać, bo wywołuje w młodzieży niezdrowe fermenty.

Ale dlaczego?

Przecież książka Dróżdż-Satanowskiej jest pesymistyczna. Nie ma w niej wcale apoteozy lasu. Mówiło się, że książki Remarque'a odzierały wojnę z jej romantycznych osłon. Książka „Niewydeptane ścieżki" odziera las jeszcze bardziej z wątpliwych uroków. U Remarque'a wojna przynosi chociaż jedną pozytywną konsekwencję: koleżeństwo. Wojna frontowa wiązała tych ludzi. Zawsze czuli się razem. Oddział Dróżdż-Satanowskiej był grupą poszczególnych, samotnych ludzi. Tę samotność rozumie tylko ten, kto przeżył las, kto przeżył okrążenia, z których wyrywali się nieliczni, zostawiając rannych kolegów, którym tylko jedną pomoc można było okazać: dobić. Ludzie, którzy nie mieli świadomości istnienia zaplecza, gdzie się można skryć i odpocząć. Człowiek ranny był tam mniej wartościowy od zdrowego. Tak mówi autorka: „Wszyscy my tu czujemy się sami, choć nas jest tak dużo. Dlaczego, nie rozumiem".

Czy pójście do lasu było tylko konsekwencją awanturniczych skłonności młodzieży?

To była strategia wypracowana przez całe społeczeństwo. Młodzież tylko — bardziej impulsywna — stała się wykonawcą woli całości. Walczyła o Polskę. Walczyła z wrogiem i z własną słabością młodości. Dopiero potem zaplecze, to znaczy społeczeństwo, wciągnęło ich walkę na platformę polityczną i dokonało podziału co dobre a co złe.

„Leśna młodzież" nie wróci już do lasu. Nie wróci, bo do przeszłości nie można wrócić. Bo w tym, co się przeżyło raz, nie można się znaleźć drugi raz. Że autorka przeżyła partyzantkę głęboko — dowodem jej książka. I tacy jak ona nie wrócą, bo tam się zabijało. Bo tam się zdarzało zabić przez pomyłkę przyjaciela.

Nie przekonuje czytelnika taka rozmowa zabłąkana na którejś z kart:

„— Gdybym się jakimś czarodziejskim sposobem znalazł w szkole z powrotem i usłyszał o partyzantach, to natychmiast, bądź pewna, poszedłbym do lasu.

— i ja również."

To jest tylko fotografia ówczesnego nastroju, chwili. Teraz się to zmieniło. Mijają dwa lata od tamtych czasów, wszystko przesiąkło przez filtr refleksji. Został tylko sentyment do czasu, kiedy się z takim trudem poznawało życie. Poznawało od strony trudniejszej i w trudnych warunkach. Zamknięcie tych wzruszeń i trosk, przeżyć i doświadczeń w słowie pisanym jest piorunochronem, który rozładowuje ten nieuporządkowany nieraz ciężar. Po takiej spowiedzi przychodzi ulga. Wspomnienia wracają potem coraz cichsze, stłumione nawarstwiającym się czasem zapomnienia. Zostają tylko dokumenty i ślady dróg, którymi to pokolenie dochodziło do zawsze trwałych ideałów humanitarnych, a które przyszłe pokolenia będą odczytywać może na przestrogę w swoich wędrówkach.

*

Tradycyjnie trzeba coś powiedzieć o pisarstwie autorki, mimo że nie miała ona z pewnością jakichś poważniejszych zamierzeń literackich. Chodziło jej o pozostawienie dokumentu z przeżyć, które się jej wydają niecodzienne i ważkie. Stąd właśnie wypływa niemożność przykładania jakichś schematów literackich do tej książki. Autorka przeżywa głęboko las i umiejętnie przetwarza te przeżycia w słowo, nie pozbawione zresztą kobiecej afektacji, a nawet sentymentalnych dłużyzn. O przyszłości pisarskiej autorki trudno wyrokować, bo między prozą autentyczną a twórczą jest ogromna różnica i nie wiadomo, czy potrzeba pisania nie minie wraz z niepokojącymi refleksjami. Jednak umiejętność obserwacji i łatwość odtwarzania scen trudnych w swej dotkliwej wprost prostocie pozwalają się spodziewać dalszych udałych pozycji.

Tadeusz Konwicki

*) **Zofia Dróżdż-Satanowska.** Niewydeptane ścieżki. Ze wspomnień partyzanckich. Warszawa, „Panteon", 1947; str. 304.

DWIE KSIĄŻKI O ZIEMI ZAPOMNIANEJ

Prace Instytutu Zachodniego, t. VI. Józef Mitkowski. Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski. Poznań, Instytut Zachodni, 1946; str. 224 i 5 mapek.

Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria: Ziemie Odzyskane pod red. dr. **Stanisława Helsztyńskiego. Leszek Gustowski.** Polska a Pomorze Odrzańskie. Zarys historyczny. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1946; str. 148, 18 rycin i mapek.

We wstępie do swojej pracy uzasadnia Mitkowski termin „ziemi zapomnianej", oczywiście jako prastarej krainy Piastów. Żadnego z historycznych obszarów ziem polskich nie pokryło takie milczenie dziejopisarstwa, co Nadodrze Przybałtyckie.

Żadna kraina nie oddaliła się tak bardzo od żywej historii narodu, jak właśnie ta. Nie dziwota, że już sto lat temu angielska encyklopedia mówiła swym czytelnikom o Pomorzu jako terytorium Wandalów, dynastii Brandenburskiej, Szwedów i Prusaków, ani razu nie wymieniając Piastów, Polski, Bolesława Krzywoustego. Wynikało to poniekąd z tego, że polska nauka historyczna nie występowała na międzynarodowym terenie badawczo-orgnizacyjnym (do czasu powstania Polskiej Akademii Umiejętności), ale też i z zaciekłej naukowo-politycznej propagandy niemieckiej (choćby za pomocą przez przeszło sto lat wydawanych „Baltische Studien").

Wbrew tym zaniedbaniom Gustowski akcentuje wielowiekową „orientację Polski ku Odrze" i „nieprzerwany ciąg związków i styków polsko-zachodniopomorskich". Obaj autorowie podkreślają zgodnie, że na tej ziemi władztwo Piastów i książąt słowiańskich trwało prawie pełnych siedem stuleci, Szwecji (w różnym zasięgu terytorialnym) niepełne dwa wieki, a Brandenburczyków i Prus tylko dwadzieścia pięć lat, przy czym na ostateczne połączenie Zaodrza z królestwem Hohenzollernów trzeba było aż tak mało przekonywającego aktu dyplomatycznego, jak kupno od Szwecji za trzy i pół miliona talarów terytorium poważnej części tegoż Pomorza z Gryfią i Strzałowem.

Obie prace dają obraz przeszłości tej ziemi od jej zaczątków historycznych (które Mitkowski poprzedza jeszcze rozdziałem o prehistorii obszaru, uzasadniając przynależność Pomorzan do lechickiej jedności etnicznej) po czasy najnowsze. Ujęcie tych dziejów od połowy X wieku do bieżącego stulecia jest u obu autorów różne.

Mitkowski czasy nowsze, od r. 1637 (tj. od wymarcia rodzimej dynastii) omawia na zaledwie 30 stronach, Gustowski poświęca im połowę książki. W książce Gustowskiego strona ekonomiczna i społeczna, metodycznie biorąc statystyczna i antropogeograficzna, wybija się na plan pierwszy jako naukowy argument tezy rewindykacyjnej. Mitkowski, sumienny znawca średniowiecza, podkreśla polityczną stronę tych dziejów, zgłębiając przez samodzielną interpretację źródeł — problem związków Nadodrza z Polską Piastowską i Jagiellońską.

Konstrukcja książki i podział jej na rozdziały różni się również u obu autorów. U Mitkowskiego występuje, jako historycznie logiczniejszy, podział na okres „jednoczenia szczepów polskich przez pierwszych Piastów" (950—1138), na dobę rozbicia dzielnicowego (do 1315) i znowu nawrót do unifikacyjnej polityki lat 1315 do 1523, wreszcie rozluźnienie węzłów z Rzecząpospolitą, które ostatecznie zerwał pokój westfalski (1648). U Gustowskiego podział jest bardziej uproszczony: epoka piastowska i jagiellońsko-elekcyjna stanowią odrębne całości. Książka Gustowskiego, powstała po pracy Mitkowskiego, niewątpliwie zaoszczędziła autorowi „Polski i Pomorza Odrzańskiego" sporo wysiłków w ustaleniu faktów historycznych i wiązaniu ich w odpowiednie kompleksy; i na odwrót, dalsze badania Mitkowskiego, które będzie kontynuować, jak zapewnia w przedmowie, w zakresie dziejów Zaodrza, będą musiały z natury rzeczy uwzględnić problematykę Gustowskiego.

Do opisu związków Pomorza Nadodrzańskiego z polszczyzną w wieku XIX, związków, które stanowić muszą najtrudniejszą do zrekonstruowania i najbardziej intrygującą kwestię polskiej historii tej ziemi, dorzucić by się dało niejedno zagadnienie. Takim jest — zdaniem naszym — pominięte przez obu autorów — omówienie prasy polskiej, drukowanej na Pomorzu Zachodnim. Równo w połowie XIX wieku, bo w 1850 r., ukazywało się w Szczecinie pismo „Przyjaciel Chłopów", redagowane przez ówczesnego znanego publicystę Eugeniusza Brezę; Estreicher nazywa je „pismem rządowym" i stwierdza, że wyszło kilkadziesiąt numerów. Jeżeli w okresie odnowienia reakcji rząd pruski musiał przemawiać do chłopów pomorskich po polsku, jest to znakomite świadectwo polskości tych ziem, której Wincenty Pol bez trudu się doszukał nawet na odległej Rugii.

Obie książki, zaopatrzone w wykaz literatury i źródeł (Gustowskiego jako bardziej popularna bez przypisów i cytacji źródłowych) spełnią znakomicie rolę budzicielek zainteresowań historią Polski nad Bałtykiem.

Marian Tyrowicz

...BRZMI W ŹDŹBLE CZYLI GŁĘBOKO ZABARWIONY

„Optymistycznie nastraja zbiorek Frasika. Jest w nim tyle związku z rzeczywistością, że z pełną radością dostrzegamy, jak kultura wzbogaca się o pewne elementy bardzo ważkie. Frasik nie przestaje być chłopem, nie czuje się on z powodu swego chłopskiego pochodzenia bynajmniej zastraszony, raczej przeciwnie wchodzi w żywą kulturę, przyjmując jej cały spadek historyczny, z poczuciem współgospodarza jej... Z dumą podkreśla swoje pochodzenie chłopskie i wyraża ze swobodą psychikę chłopską. Wiersze jego są bardzo bliskie ziemi. Sposób ujmowania zjawisk świadczy o tym, że poeta nie dał się zastraszyć, lecz wypowiada swoją odrębność w sposób po poetycku ujmujący i świeży, a moralnie zwycięski... Tradycja kulturalna i nowoczesność zlewają się w jego wierszach w stop oryginalny, bardzo osobisty. W własny niepodrabiany wyraz. Obrazy wsi są u niego bardzo żywe i wzruszające. Stosunek do przyrody niezwykle intymny i głęboko zabarwiony".

Zwracamy uwagę Janowi Huszczy, autorowi podręcznika dla krytyków, na recenzję Wojciecha Bąka, z której pochodzą powyższe cytaty (por. „Dwaj poeci", „Dziś i jutro", nr 2).

Bąk nastraja w niej optymistycznie, jego słowa są bardzo bliskie ziemi, kultura wzbogaca się o pewne elementy bardzo ważkie, i Bąk brzmi z poczuciem współgospodarza jej. (Jej!) Głęboko zabarwiony, nie dał się bynajmniej zastraszyć, wyraża ze swobodą psychikę, zlewa w stop oryginalny, bardzo osobisty, w (www...) własny niepodrabiany wyraz i wypowiada swoją odrębność.

bsk

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

POEZJA

Jarosław Iwaszkiewicz. Wiersze wybrane. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 239 i 1 nl i 1 portret. — 360 zł.

Bolesław Leśmian. Wybór poezji. Ułożył i wstępem zaopatrzył **Leopold Staff.** Warszawa, „Książka", 1946; str. 166 i 4 nl. — 210 zł.

Księgi Polskie. Tom I. **Juliusz Słowacki.** Lilia Weneda. Tekst przygotował, posłowie i objaśnienia opracował prof. dr **Tadeusz Makowiecki.** Układ graficzny, okładkę i zdobniki w tekście projektował art. graf. **Tadeusz Kryszak.** Łódź. Spółdzielczy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 2 nl i 123 i 7 nl i 10 knl ilustracyjnych. — 150 zł.

PROZA LITERACKA

Kazimierz Brandys. Drewniany koń. Powieść. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 230 i 2 nl. — 320 zł

Jan Dobraczyński. Szata godowa. Powieść. Okładkę projektował art. mal. **Al. Krakowski.** Poznań. Zdzisław Gustowski, 1947; str. 223 i 1 nl. — 320 zł.

Arkady Fiedler. Ryby śpiewają w Ukajali. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 214 i 4 nl i 12 nl ilustracyj. — 360 zł.

Antoni Gronowicz. Four from the old town. Translated from the Polish by **Joseph Vetter.** Illustrated by **Dwingt Logan.** New York, Charles Schribner's Sons, 1944; str. 10 nl i 149 i 1 nl.

Antoni Gronowicz. The Piasts of Poland. New York, Charles Scribner's Sons, 1945; str. 8 nl i 199 i 1 nl.

Hanna Malewska. Żniwo na sierpie. Powieść o Norwidzie. Poznań, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1947; str. 415 i 1 nl. — 350 zł.

Antoni Makarenko. Poemat pedagogiczny. Tłumaczyła **B. Rafałowska.** Okładkę projektował **Stefan Bernaciński.** Część III. Warszawa, „Książka", 1946; str. 295 i 1 nl. — 270 zł.

Ksawery Pruszyński. Trzynaście opowieści. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 326 i 4 nl. — 420 zł.

Arthur Ransome. Jaskółczyn. Z upoważnienia autora przełożyła **H. Bukowska.** Okładkę projektowała **Olga Siemaszkowa.** Warszawa, „Książka", 1946; str. 479 i 1 nl. — 380 zł.

Jerzy Zawieyski. Noc Huberta. Powieść. Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 214 i 2 nl. — 300 zł.

Biblioteka Czytelnika. Tom 1. **Stefan Żeromski.** Nowele, opowiadania i fragmenty (wybór). Wstępem i objaśnieniami opatrzył **Kazimierz Wyka.** Kraków, „Czytelnik", 1946; str. XXXIII i 3 nl i 326 i 2 nl. — 360 zł.

HISTORIA LITERATURY

Polska Akademia Umiejętności. Prace Komisji Orientalistycznej. Nr 35. **Andrzej Gawroński.** Początki dramatu indyjskiego a sprawa wpływów greckich. Z wstępem, uwagami i streszczeniem francuskim **E. Słuszkiewicza.** Kraków, 1946; str. 4 nl i LXXII i 156. — 720 zł.

Biblioteka „Życia Literackiego". **K. W. Zawodziński.** Rzut oka na literaturę polską 1945 roku. Poznań, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1946; str. 62 i 2 nl.

NAUKI TECHNICZNE

Zdzisław Grott. 100 lat Zakładów H. Cegielski. 1846—1946. Poznań, 1946; str. 238 i 2 nl.

Stefan Tworkowski. Architektura wsi. Materiały do dyskusji. Okładkę projektowała **Wanda Zawidzka-Manteuffel.** Kraków, „Czytelnik", 1946; str. 159 i 1 nl i 2 tabele. — 480 zł.

KONKURS FORTEPIANOWY DLA DZIECI

Szkoła Muzyczna im. Władysława Żeleńskiego w Krakowie ogłasza konkurs fortepianowy dla dzieci. Warunki konkursu: Wiek — do 12-go roku życia. Termin — 15 kwietnia 1947 r. Kandydat winien osobiście lub piśmiennie zgłosić udział w konkursie do 15 marca 1947 r. w sekretariacie Szkoły Muzycznej im. Wł. Żeleńskiego, Kraków, Plac Inwalidów 8, II. Zgłoszenie winno zawierać następujące dane: nazwisko i imię, wyciąg metryki, dokładny adres kandydata, u kogo pobiera naukę. Przy zgłoszeniu kandydat wpłaca 200 zł tytułem taksy konkursowej.

Program: Grupa A. J. S. Bach: 1) „Łatwe utwory" Cz. I. z tych Nr 13 Menuet (Kanon); 2) „6 małych preludiów" („Kleine Preludien") z tych Nr 4.

Grupa B. Sonatiny: 1) Mozart „6 Sonatines" (Mugellini): Allegro brillante (Sonatine Nr 1), Andante grazioso (Sonatine Nr 4); 2) Mozart „6 Sonatines" (Mugellini): Adagio i Rondo (Sonatina Nr 6); 3) Kuhlau op. 20, Nr 2, I i II część; 4) Kuhlau op. 88, Nr 3, II i III część; 5) Clementi op. 37, Nr 2, (całość)

Grupa C. Polska: 1) Palester „Pociąg towarowy"; 2) Łabuński „Toccatina"; 3) Garścia „Z cyklu Hania"; 4) Markiewiczówna „Etiuda"; 5) Marek „Preludi"; 6) Winkler op. 3, Nr 2, „Etiuda".

Każdy kandydat ma mieć przygotowane **trzy** utwory, po jednym z każdej poszczególnej grupy. W grupie B. dwie części uważa się za jeden utwór.

„PANHUMANIZM" — CZYLI OSZAŁAMIAJĄCE ZJAWISKO W „ODRZE"

Nowe prawdy odkrywa czytelnikom „Odry" p. Fryk Skowron w artykule wstępnym pt. „Panhumanizm" („Odra". nr 3), oto one:

„Radioelektryka i motory oraz inne rewolucyjne zdobycze techniki współczesnej zamieniły się muzealne zabytki nie tylko dyliżanse i inne pierwociny nowoczesnych środków komunikacyjnych, lecz pociągnęły one za sobą także zanachronizowanie wielu zjawisk społecznych i międzynarodowych, a także dotychczasowe pojęcia o człowieku, jego istocie i powołaniu". Po tym bystrym spostrzeżeniu dzieli się p. Skowron z nami zdziwieniem: „Co dziwne, że tempu, z jakim człowiek dokonuje nowych wynalazków, stając się coraz to potężniejszym panem żywiołów go otaczających, nie dorównują zmiany w świadomości, w psychice człowieka". Wobec takiego stanu rzeczy p. Skowron dochodzi do wniosku, że: „Uzasadnieniem jedności świata człowieczego może być tylko jedno wiązadło, a tym jest „panhumanizm". Nie wiem, jakie perypetie będzie świat jeszcze przechodził aż dojdzie do tej naturalnej swej mety, ale wydaje mi się, że to jest jedyny słuszny cel dziejów człowieka i jego wewnętrzna tendencja".

W tym miejscu p. Skowron formułuje jasno pojęcie „panhumanizmu":

„Panhumanizm jest wiarą, że w każdym człowieku, bez względu na to jakiej by on nie był (?) rasy, tkwi ów tajemniczy płomień tworzycielski, który jest motorem owego oszałamiającego zjawiska przetwarzania świata przez człowieka. Człowiek nie ma tu konkurenta w żadnym innym stworzeniu. To go zasadniczo od innych stworzeń różni. Jest zatem jeden człowiek i jedno pojęcie człowieczeństwa. Człowieczeństwo zaś jest tworzeniem"... itd., itd.

— Jak widzimy sama idea jest piękna; gorzej ze stylem i składnią, ale mam nadzieję, że p. Skowron pokona trudności i „panhumanizm" zapanuje wśród czytelników „Odry", „bez względu na kolor włosów i skóry".

P. S. „Odra" stylistyczna, którą przechodzą „publicyści" tego pisma, jest bardzo smutnym zjawiskiem, trudno mi jest cytować artykuły wstępne pp. Bednorza i Skowrona w całości, dlatego ograniczam się do fragmentów, niestety, całość przedstawia się znacznie gorzej.

tar

EKRAN I ALBA

„Siedziało nas na sali kinowej niewielu, wszyscy — wygi filmowe, otrzaskane z rozmaitymi trickami i gagami srebrnego, jak to się mówi, ekranu" — pisze recenzent filmowy „Odry" p. Alba o sobie i kolegach. — „A kiedy film o pajacu („Ulica złoczyńców" — przyp. mój) dobiegł do końca, nikt się przez dłuższy czas nie ruszył z miejsca. Byliśmy pobici". „Jakże nieubłagana była ta ręka, wyciągająca za włosy nasze najbardziej skryte, najbardziej oporne wspomnienia, zawiłości i problemy".

Swoją drogą, straszna ręka! Według p. Alby konstrukcja scen, dialogów i gierek jest żelazo-betonowa a sylwetka Barraulta „stwarza pewną manierę, rzekłbym: poza-fijołkową".

Ach, te wygi filmowe, otrzaskane ze srebrnym, jak to się mówi, ekranem, jak „one" piszą recenzje, jak to się mówi, filmowe?!

rut

DONOS DO ŻONY POETY

W „Dziś i Jutro" (nr 2) Henryk Jakóbczyk broni poezji K. I. Gałczyńskiego. Bardzo to szlachetnie z jego strony Ale broni tak:

„Przekonałem się namacalnie na poranku autorskim Gałczyńskiego, że jest to zupełnie normalny facet, całkiem miły człowiek, nie wyglądający na entuzjastę delirium tremens".

*Co się to wyprawia na porankach autorskich w Warszawie, że młodzi ludzie przekonują się namacalnie? Pani **Natalio!?***

kaj

PIERWSZY FILM PEŁNOMETRAŻOWY

„Zakazane piosenki", film produkcji polskiej, scenariusz — **L. Starski**, reżyseria — **L. Buczkowski**, ilustr. muz. — **R Palester**, zdjęcia — **A. Forbert.**

Pojawienie się na ekranie pierwszego filmu polskiego produkcji powojennej poprzedziła dwuletnia prawie uwertura prasowa, obfitująca w momenty drastyczne, w polemiki, w roztrzasania zagadnień zasadniczych, tłumaczenia, kajania się itp. Moment premiery stał się wobec tego chwilą przegrzanej nieco niespodzianki i może skusić krytyka do zbyt łatwego i pochopnego stwierdzenia, że góra urodziła mysz. W rzeczywistości proporcje między oczekiwaniem a faktem przedstawiają się zgoła inaczej i temu trzeba poświęcić trochę miejsca.

Już ostatnie miesiące pozwoliły się nam zorientować, co się w kinematografii polskiej dzieje. Tym sygnałem orientującym były etiudy filmowe, krótkometrażówki, zwłaszcza te o założeniach nie reportażowych, lecz artystycznych — jak „Suita warszawska" — które dały dowód pewnej sprawności technicznej realizatorów, smaku montażu i kompozycji owej „małej formy", mającej dopiero posłużyć ambitniejszym zamierzeniom filmu pełnometrażowego.

Dopiero bowiem w „Zakazanych piosenkach" wystąpił człowiek-aktor, nie człowiek-makieta, formistyczna dekoracja; fabularność, choćby była ułomna i zdawkowa, mogła wnieść element racjonalnego wynikania jednych form z drugich i moment wzruszenia, który występuje u widza przez porównanie tego, co widzi, z doświadczeniem życiowym.

Czym są „Zakazane piosenki"? Są reportażem z Warszawy okupacyjnej, Warszawy walczącej, pobitej, ale ostatecznie zwycięskiej, reportażem skonstruowanym na jednej osi o podwójnym wiązaniu — tożsamości osób występujących w filmie i jedności akcji, oraz na montażu dźwiękowym, opartym o przewijającą się piosenkę warszawską, pełną humoru, niefrasobliwości i sentymentu — ów oręż niezawodnego odporu, którym mieszkańcy miasta przeciwstawiali się okupantom. Elementy składające się na całość trzeba z osobna poddać analizie, żeby dojść do jakichś wniosków i choćby nieproszonych rad na przyszłość.

Opowiadanie jest ramowe. Jeden z uczestników akcji rekonstruuje w atelier filmowym przy fortepianie (posługując się właśnie montażem dźwiękowym) odcinek historii zbiorowego i indywidualnego życia; w ciągu akcji kilkakroć przypomina o swoim istnieniu i lekkim, narracyjnym tonem relacji i dźwięku szkicuje zarysy burzy, która się przetoczyła nad miastem. Nie jest to chwyt szczególnie odkrywczy, ale formalnie daje pewną swobodę w nakładaniu barw i działa pozytywnie na widza, obserwującego przeszłość niejako już z bezpiecznego miejsca. Bohaterami są: narrator, jego siostra, jej matka i narzeczony oraz kilka figur pobocznych — Żyd ukrywający się w kamienicy, młoda volksdeutschka, tchórzliwy sąsiad i galeria figur całkowicie anonimowych, niemniej jednak wyrazistych i dodających charakteru obyczajowemu obrazowi stolicy. Do tych osób należą przede wszystkim piosenkarze, o bardzo dobrych maskach — nieletni chłopcy, dziewczyny, nawet dzieci, aż do odwróconego zawsze plecami do widza grajka-szpicla. Folklor Warszawy jest tu istotnie bogaty i daje pojęcie o tych, którzy najbutniej podejmowali walkę z Niemcami, którzy nie mając wiele do stracenia, odznaczali się wielką odwagą, wręcz zuchwałością. Warszawiak walił we wroga granatami, a jeśli nawet nie, to paraliżował go przynajmniej humorem i gospodarczą przemyślnością.

W akcji pokazano te wszystkie znane nam momenty walki — jak na przykład wyłączenie „szczekaczki" i nadawanie komunikatów Polski Walczącej, wykonywanie wyroków na volksdeutschach i szpiegach, a potem już w wojskowej walce dywersyjnej — minowanie pociągów itp. Ów zamiar dania przekroju życia okupacyjnego w jego dramatycznych i humorystycznych momentach (sceny w tramwaju i w pociągu) oraz dość wątła akcja personalna określają charakter filmu jako reportażowy. Jednak doświadczenia pewnej rodziny warszawskiej poznajemy bliżej: to historia Haliny i jej brata Romana (narratora), narzeczonego, matki. Dom ich przechodzi rewizję gestapo; mężczyźni muszą uchodzić w las, narzeczony Haliny nie powraca z nocnego patrolu, Halina rzuca się w nurt, w zwycięstwo i w klęskę powstania; jej brat, wstąpiwszy do odrodzonego wojska maszeruje na Berlin. Ale każda z tych postaci ledwie jest naszkicowana; aż nazbyt dobrze się wyczuwa, że jest jedna z wielu. W tym treściowym wykresie scenariusza widać pewną konwencjonalność i zdawkowość; to chyba najsłabsza strona filmu. Również tło nie jest w swych elementach zupełnie sprawiedliwie wyważone, bo ktoś, nie obznajomiony z prawdziwymi warunkami życia w czasie okupacji, mógłby sobie na podstawie „Zakazanych piosenek" wyrobić przekonanie, że to wszystko było dobrą zabawą. Niemców zawsze wystawiało się do wiatru, a jeśli już padały trupy z wyroków kapturowych — to trupy zdrajców, w dodatku zwykłych pionków. Na korzyść jednak scenarzysty trzeba powiedzieć, że choć nie dość mocno zawiązał węzeł dramatyczny, ustrzegł się scen rażących i brutalnych (których widz się obawiał), przepoił akcję niepodrabianym humorem, a kilka grottgerowskich scen łzawych — „Leci liście z drzewa", krzyż, mogiła, harmonijka, dokończenie przez druha piosenki żołnierzyka, przerwanej przez śmierć — zdają się czymś tak nieodłącznym od charakteru Polaków. Trzeba sobie powiedzieć: jesteśmy narodem sentymentalnym, i to się też odbija w literaturze, to się podoba i znajduje odbiorców. Jeśli na przyszłość należało by wprowadzić pewne korektury w stosowaniu tej łatwizny uczuciowej, to zdajemy sobie sprawę, że twórcy polskiego filmu — pozostającego dotąd pod auspicjami „Znachora" — tylko bardzo nieśmiało mogą płynąć pod prąd. Niejaki wysiłek w tym kierunku jest jednak konieczny.

Drugą komponentą filmu jest jego element ludzki, aktorski, decydujący właściwie o efekcie.

W dziedzinie gry aktorskiej można zanotować w naszej kinematografii znaczny postęp. Nie będę tu nawet mówił o postaciach pierwszoplanowych, gdyż psychologiczna zawartość akcji nie daje im sposobności do większego pogłębienia kreacji. Chodzi mi o epizody, o statystów prawie, których dobór był wyraźnie szczęśliwy. Były to maski z charakterem. Wymienię kilka: Żydóweczkę z ghetta, śpiewającą jakąś rzewną piosenkę — dziewczynkę o mistycznej urodzie, potem — dziewczynę dyrygującą orkiestrą w czasie wykonywania kapturowego wyroku (świetnie odbijająca się dwutorowość myśli — zamkniętych między poczuciem obowiązku a osobistą odrazą do mordu), Żyda pochylonego nad pamiętnikiem swojej martyrologii, twarze z tłumu wychodzącego na Pruszków, obracające się w czasie postoju ku płonącej Warszawie — każda inna, każda z własną, nieznaną, ale wyrazistą historią. Te momenty były na poziomie filmu europejskiego (porównaj z „Walką o tor"). Sylwety Niemców mundurowych dobre, nawet w akcencie swojej niemczyzny, zwłaszcza rozgrywka kilku figur w czasie rewizji, łapownicy w pociągu i pierwsza czwórka maszerującej kompanii „heili-heilo!" — powracająca jako refren — i przeciwwaga elementu polskiej piosenki.

Danuta Szaflarska jako Halina stworzyła postać ponad przeciętny poziom: zharmonizowaną wewnętrznie, przemyślaną i aktorsko uczciwą (tylko po co te utuszowane rzęski?). **Jerzy Duszyński** (Roman), mimo pozorów lalkowatości — naturalny, inteligentny i swobodny, gra na amerykański sposób raczej sylwetką niż wyrazem twarzy. **Kurnakowicz** jako tchórz dał maskę teatralnie wyśmienitą (coś pośredniego między Jaraczem a Zniczem), ale z filmowego punktu widzenia raczej postawił niepotrzebnie kropkę nad „i" (przed obiektywem lepiej nie dograć, niż wygrać za wyraziście). Mniej szczęśliwa była postać matki, nadto drobnomieszczańska, i nijaki właściwie był narzeczony (**Świderski**), ale to już z winy scenariusza.

Reżyser wydobył z aktora, co było trzeba, montował już mniej szczęśliwie, pozwalając sobie na kilka oklepanek — jak fotografowanie rozbitego zegara i ilustrację muzyki obrazami, co estetycznie jest nieprzyzwoite. (W ogóle jestem wrogiem muzyki jako tła towarzyszącego i elementu uczuciowego crescenda; zamazuje to wyraz, na który trzeba znaleźć inną formę. Atawizm filmu niemego!). Sceny batalistyczne wyszły tylko w połowie. Dobre były epizody z powstania, gorszy las — z zupełnie zamazanym wysadzeniem pociągu. Drobne potknięcia w logice opowiadania też można znaleźć — jak na przykład w sytuacji ukrywającego się Żyda, zdanego na łaskę swoich dobrodziejów, proszącego przygodnie o papierosa, ale potem wskutek wymuszenia prezentującego pokaźny stosik gotówki i kosztowności.

W tym wszystkim widać jednak poszukiwanie i oglądanie się na interesujące wzory, co dobrze rokuje na przyszłość.

W sumie więc należy przypuszczać, że po uwolnieniu się spod nadto urzekającej tradycji szukania łatwego rynku u zwykłych kinojadów, po wynalezieniu ciekawszych scenariuszy — w polskiej kinematografii wykluje się forma, której nie trzeba będzie przykrywać przed zagranicą jako miejsca wstydliwego.

Marian Promiński

P. S. Odpowiedź p. Zbigniewowi Danielakowi:

Caeterum censeo, że pierwsza część filmu „Komedianci" jest dziełem nieudałym. Znajomość historycznego klucza nie ratuje estetycznych szablonów w ujęciu filmu. Analiza krytyczna jest właśnie rodzajem uniwersalnego wytrycha, który otwiera podwoje obiektywnego poznania, jeśli ono jest w ogóle możliwe. Moim błędem było chyba tylko zbyt pośpieszne napisanie recenzji po cząstkowym obejrzeniu (pierwszej części), bo ocena całości musiałaby wówczas wypaść jako średnia arytmetyczna wrażeń z obu części.

Co do wyrazu „pantomina" — ośmielam się twierdzić, że jest on obocznością do wyrazu „pantonima" i zyskał sobie prawo obywatelstwa.



DANUTA SZAFLARSKA I JERZY DUSZYŃSKI

PŁODNE STARCIE

Wziąłem się do lektury szkicu J. Zawieyskiego w ostatnim numerze „Teatru" (nr 6—7). O wstępie zdanie od redakcji. Przeczytajcie uważnie. „Zamieszczamy szkic Jerzego Zawieyskiego, który ustala warunki, sprzyjające powstaniu wielkiego dramatu w naszych czasach jako epoce walki o świat wartości. Nie podzielając poglądów autora na rolę poszczególnych kierunków myślowych chwili obecnej i ich ocenę, doceniamy w pełni rozległość jego horyzontów myślowych, narzucających czytelnikowi w sposób poddawczy konieczność płodnego starcia się z myślą rozbiorczą świetnego pisarza i dramaturga."

Domyślam się, czego purysta chciał uniknąć. On to na pewno pisał specjalnie dla Dzikowskiego, który nie rozumie przymiotnika „amorficzny". Wobec tego zamiast „sugestywny" napisał „poddawczy", zamiast „krytyczny" — „rozbiorczy". Ale czy purysta zastanawia się, co w ten sposób powiedział? Zaproponował w sposób poddawczy płodne starcie. A fe! Słyszało się o takich rzeczach, ale żeby w druku, w poważnym piśmie.

A co znaczy płodne starcie, nazwane obcym terminem, nie śmiem napisać. Może purysta powie sam?

kaj

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Na koncercie Filharmonii Krakowskiej z dnia 17. I. przedstawił Zdzisław Górzyński obszerny i w zasadzie interesujący program, którego myślą przewodnią było pokazanie szeregu kompozytorów słowiańskich (Chopin, Janaczek, Prokofiew, Smetana). Jednak dobór poszczególnych utworów nie był dość szczęśliwy: brak wyraźniejszych kontrastów (mimo dużej stosunkowo rozpiętości chronologicznej i stylistycznej) wywołał pewną monotonię, w której zatarła się plastyka tych kompozycyj. W pewnej mierze zawiniło tu mniej staranne niż zazwyczaj przygotowanie koncertu przez Górzyńskiego. Ten niezwykle zdolny dyrygent nie wydawał się tym razem tak dobrze usposobiony, jak na poprzednich swoich występach w Krakowie. Brak mu było zwłaszcza tej sugestywności, którą zazwyczaj od razu „bierze" publiczność. „Lasskie tańce" Janoczka wypadły blado. Jest to zresztą znowu jeden z utworów, które pokazują tego wybitnego kompozytora morawskiego nie od najlepszej i najbardziej charakterystycznej strony. Metoda ta niestety weszła obecnie w Polsce (a zwłaszcza w Filharmonii Krakowskiej) w stały zwyczaj: za kompozytora mówi nazwisko na afiszu, a nie jego dzieło, dzieło należące często do tych, które w jego dorobku mało się liczą. Metoda oczywiście niezupełnie lojalna wobec kompozytora i zarazem wobec publiczności, która wyrabia sobie o nim zupełnie fałszywe pojęcie.

Mało efektownie wypadła „Wełtawa" Smetany, nie było w niej charakterystycznej płynności ruchu, która stanowi główny jej urok. Najlepiej została wykonana Suita z baletu „Romeo i Julia" Prokofiewa — kompozycja zupełnie nieciekawa. Zasięg środków i możliwości wyrazu Prokofiewa był zawsze dość ciasny, miał jednak niewątpliwie pewien swoisty wdzięk i dowcip. Tym razem jednak kompozytor powtarza samego siebie z dawniejszego okresu twórczości — i to transponując swój język na wysoce konwencjonalną terminologię muzyczną. W Suicie tej nie ma nic twórczego.

Solistą wieczoru był znany pianista **Władysław Kędra** który wykonał z towarzyszeniem orkiestry dwa młodzieńcze utwory Chopina: Wariacje op. II na tematy z mozartowskiego „Don Juana" i Fantazję na tematy polskie op. XIII. Jakkolwiek oba te dzieła mają dziś już tylko historyczne znaczenie, pomysł umieszczenia ich w programie wydaje mi się szczęśliwy: słuchaczom, którzy zawsze słyszą te same utwory Chopina z okresu jego dojrzałości — pozwalają się zorientować w genezie i początkach jego twórczości. Charakterystyczne są pod tym względem zwłaszcza Wariacje op. II, wykazujące silne wpływy włoskiej muzyki operowej, o których zapomina się u Chopina z okresu późniejszego. Jest to pierwszy utwór, którym Chopin zwrócił na siebie uwagę na Zachodzie. Schumann powitał go w zaraniu swej pracy recenzenckiej w 1831 słowami: „Panowie — uchylcie czoła przed nowym geniuszem!" Dla wykonawcy przedstawiają te obie kompozycje dość duże trudności nie tylko wirtuozowskie, ale i interpretacyjne; zwłaszcza Fantazja na tematy polskie wymaga pewnej prostoty ujęcia, która stanowi jej niezbędny element stylistyczny. Kędra dał interpretację nieco bladą i równocześnie za grubą, posługując się rodzajem dźwięku, którego nie można uważać za najlepszy (dotyczy to także zagranego na bis Nokturnu). Znakomity technik wyszedł zwycięsko ze wszystkich trudności pianistycznych (doskonała technika palcowa i oktawowa), natomiast w Wariacjach raziły nieprecyzyjne figury rytmiczne.

Stefania Łobaczewska

MAJDAŃSKI CZY ROZRODCZOŚĆ

„Dziś i Jutro" upomniało się o propagandę i osobę Walentego Majdańskiego, współpracownika „Rycerza Niepokalanej" i „Dziś i Jutro", „znanego szermierza rozrodczości". Mianowicie „Polska Zbrojna" i „Głos Ludu" ostro zaatakowały rzeczonego Majdańskiego za to, iż w jednym ze swoich artykułów (w „Rycerzu Niepokalanej" i „Polsce Ludowej") pozwolił sobie oficera polskiego przedstawić złośliwie, a w przejrzystym celu, jako opoja, kanciarza i nieledwie rzezimieszka, równocześnie głosząc swą idée fixe w sposób zawstydzająco prymitywny i kompromitujący. Z tej racji „Dziś i Jutro" jęknęło: „Nie wydaje nam się, aby ośmieszanie tragicznej w swej samotności pracy Majdańskiego było właściwym stanowiskiem wobec zagadnienia".

„Dziś i Jutro" naprawdę nie rozumie, czy tylko udaje, że nie wie o co chodzi? Nie ulega kwestii, że problem rozrodczości należy w Polsce dzisiejszej do bardzo ważnych i że wiele wskazań birth control dla Polski dzisiejszej się nie nadaje. Ale co innego rozumne potraktowanie sprawy, a co innego żałosne ględzenie, na domiar zaprawione żółcią politycznego i społecznego wstecznictwa. Nie z programu zwiększenia przyrostu naturalnego w Polsce żartują sobie rzekomi „wrogówie" p. Majdańskiego, lecz z popisów grafomana i wybryków ciemnogrodzianina.

jaszcz

Redaktor naczelny KAROL KURYLUK — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 507 12 — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12 — Adres administracji Wielopole 1, telefon 545 60-62.
Prenumerata kwartalna 180 zł.
M — 14 681 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"